

Z KART HISTORII

Anna Wnuk

„Starego Szweda zapamięta bieda”. Potop szwedzki i jego skutki dla państwa polskiego i ziemi urzędowskiej

W roku 1655, czyli 360 lat temu, doszło do wojny północnej, którą toczyła Szwecja przeciw Rzeczypospolitej, a potem także Danii, Austrii, Brandenburgii i Holandii. Została wszczęta przez Karola X Gustawa, króla szwedzkiego, który dążył do opanowania południowych wybrzeży Morza Bałtyckiego. Do ataku skłoniła go też zmiana układu sił w Europie Wschodniej (na rzecz Rosji kosztem Rzeczypospolitej) i postępy wojsk rosyjskich na Litwie, grożące osiągnięciem wybrzeży Bałtyku przez Rosjan. W marcu 1655 r. Karol X Gustaw zdecydował o ataku na Rzeczpospolitą, choć nie wykluczał wojny z Rosją. W lipcu 1655 r. armie szwedzkie wtargnęły do Wielkopolski i na Litwę i w ciągu pół roku zajęły dużą część ziem litewskich oraz polskich z Warszawą i Krakowem. Niepowstrzymany pochód Szwedów w Rzeczypospolitej porównywalny był do powodzi, której nie można powstrzymać. Stąd też wojnę z Karolem X Gustawem określano mianem potopu szwedzkiego.

W dniu 26 października skapitulowała armia koronna, a król Jan II Kazimierz uszedł na Śląsk. Nastąpiła grabież i wywóz polskiego mienia, kontrybucje, rekwizycje i gwałty. W tej sytuacji rozpoczął się zbrojny opór Polaków. Walka partyzancka objęła Wielkopolskę, a szczególnie Podkarpacie. Duży wpływ na nasilenie się oporu miała pomyślna obrona (18 XI–26 XII 1655 r.) klasztoru na Jasnej Górze. Hetmani koronni S. Potocki i S. Lanczowski, porzuciwszy Karola Gustawa, zorganizowali konfederację tyszowiecką (1655), która po powrocie Jana Kazimierza z emigracji przekształciła się w styczniu 1656 r. w konfederację generalną w Łańcucie¹.

W dniu 17 stycznia 1656 r. król szwedzki zawarł sojusz z elektorem brandenburskim. Jednak wobec wzrostu oporu polskiego, zawarcia rozejmu polsko-rosyjskiego (3 XI 1656 w Niemieży) i ataku wojsk rosyjskich na Inflanty, Szwedzi zdecydowali się na układ (6 XII 1656 w Radnot) z Brandenburgią, Siedmiogrodem, Bohdanem Chmielnickim i Bogusławem Radziwiłłem o rozbiórze Rzeczypospolitej. Jego następstwem był w 1657 r. najazd wojsk siedmiogrodzkich, które pobite i osaczone przez Polaków, skapitulowały w lipcu².

Rzeczpospolita uzyskała pomoc od chana tatarskiego i cesarza. W czerwcu 1657 r. do wojny przeciw Szwecji przystąpiła też Dania, a w wyniku traktatów welawsko-bydgoskich elektor brandenburski. Główne siły szwedzkie, wycofane z ziem polskich, wtargnęły do Danii i pokonały ją. Mimo narzucenia jej ciężkich warunków pokoju w Roskilde, już w sierpniu 1658 r. Karol X Gustaw

znow zaatakował Danię, dążąc do jej aneksji. Pomoc floty holenderskiej oraz wojsk austriackich, polskich i brandenburskich dla Danii przesądziła o porażce Szwedów. W roku 1660 mediacja francuska oraz śmierć Karola X Gustawa przyspieszyły zawarcie pokoju oliwskiego 3 maja 1660 r. i pokoju kopenhaskiego 6 czerwca 1660 r.

Dotychczasowe najazdy i wojny były niczym wobec spustoszenia kraju, jakiego dokonał „potop szwedzki”. Lubelszczyzna po klęsce wojsk Stefana Czarnieckiego pod Gołębim poddała się Szwedom, nie stawiając już żadnego oporu w lutym 1656 r. Sam król szwedzki Karol Gustaw przebywał w Lublinie kilka dni, a opuszczając go, pozostawił na lubelskim terenie garnizon liczący około 600 zbrojnych. Pomimo poddania się i płacenia kontrybucji, okupant nie zaprzestał palenia domostw, rabunków, gwałtów, a nawet morderstw mieszkańców pobliskich miasteczek i wsi. Przy okazji wszystko, co cenne było transportowane do Szwecji, a pozostałości niszczone i palono. Otwierano krypty grobowe, szukając kosztowności. Rozrzucano szkielety zmarłych.

W styczniu 1656 r. przeszły przez miasto Urzędów chorągwie Stefana Czarnieckiego, podążające z Bełżyc pod Nisko³. Wiosną 1657 r. Karol Gustaw, król szwedzki, naciskany przez Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego, przybył w okolice Urzędowa znad Sanu. Zajął Kraśnik i 23 kwietnia 1657 r., po zrabowaniu Kraśnika, zajął Urzędów, a potem okopał się na górze skorczyckiej zwanej Psia Górka. Drugi punkt obrony znajdował się na grodzisku na północ od Skorczyc.

W Urzędowie był duży obóz szwedzki. Szwedzi oczekiwali tu na przybycie sprzymierzonych oddziałów Jerzego Rakoczego. Skorczyce były zajęte na leże wojskowe. Szwedzi zniszczyli kaplicę Szornelów w skorczyckim dworze. Z tej epoki pozostały szczątki okopów zw. szwedzkimi na północ od Skorczyc, na miejscu dawnego grodu (dziś Leszczyna)⁴. Połączone wojska szwedzko-siedmiogrodzkie przebywały na terenie powiatu urzędowskiego przez około dwa tygodnie, przysparzając wielu utrapień mieszkańcom i okolicznej ludności chłopskiej. Na pewien czas Karol Gustaw z sojusznicznymi wojskami Rakoczego podążył za oddziałami polsko-litewskimi pod Brześć, skąd powrócił, w końcu czerwca tego roku, do Urzędowa, dokonując tam ponownych spustoszeń, rabunków i mordów ludności⁵.

Wojna, która przyniosła Rzeczypospolitej zniszczenia gospodarcze i demograficzne, Danii – straty terytorialne; Prusom Książęcym – uniezależnienie się od Rzeczypospo-

litej, zakończyła się powstrzymaniem ekspansji Szwecji. Potop szwedzki wykazał ogromną słabość polityczną i militarną Rzeczypospolitej. Skutki społeczne, gospodarcze i kulturalne kilku lat wojny były ogromne i tragiczne. Działania wojenne, głód i choroby zakaźne doprowadziły do wielkich strat ludnościowych. Grabieże i zniszczeń dokonywały zarówno wrogie wojska: szwedzkie, brandenburskie i siedmiogrodzkie, jak i żołnierze zaciąganci na służbę Rzeczypospolitej i austriaccy sprzymierzeńcy. Zniszczeniu uległy olbrzymie połacie kraju – miasta, wsie i szlacheckie folwarki, królewskie zamki i rezydencje możliwych legły w gruzach. Części z nich nigdy nie udało się odbudować. Wielkie były straty polskiej kultury. Szwedzi wywozili do swojego kraju całe biblioteki, dzieła sztuki, a nawet fragmenty architektury. Celowo palili i rujnowali wcześniej zdobyte polskie zamki, by nie stały się miejscem oporu coraz silniejszych wojsk polskich. W wyniku pięcioletniej wojny wyludniły się duże obszary ziem polskich, ponieważ towarzyszące wojnie głód i choroby doprowadziły do spadku liczby ludności o ok. 40%. Wszystko na trasie przemarszu Szwedów: pałace, dwory, kościoły, zasiewy, miasta i wsie ulegały zniszczeniu. Było to ok. 188 miast, 186 wsi, 81 zamków, 136 kościołów, 30 młynów, 10 browarów, 89 pałaców.

Skutkiem najazdów wojsk kozackich, tatarskich, a następnie szwedzkich oraz węgierskich było spale-

nie, totalne zniszczenie Urzędowa i dewastacja dóbr ziemskich. W tym czasie został spalony m.in. kościół św. Ducha i „zwierzyniec królewski”. W okresie potopu równie groźne dla ludności cywilnej były wojska własne, źle opłacane, dowodzone przez oficerów nieuznających nad sobą żadnej władzy, nawet hetmańskiej. Nieprawne stacje narażały mieszczan na ogromne straty materialne, spowodowane przymusowymi kontrybucjami i grabieżami, uchwalaniem uciążliwych składek pieniężnych⁶.

Czas „potopu” to okres próby dla państwa i narodu polskiego. Przewyciężanie skutków tej wojny okazało się bardzo trudne i zaważyło na dalszym losie Rzeczypospolitej.

Przypisy:

¹ *Wielka Encyklopedia PWN*, t. 29, red. J. Wojnowski, Warszawa 2005, s. 529–530.

² Tamże, s. 501–502.

³ J. Teodorczyk, *Wyprawa zimowa Czarnieckiego 1–20 lutego 1656 r. Bitwa pod Gołębim*, [w:] *Wojna polsko-szwedzka 1655–1660*, red. J. Wimmer, Warszawa 1973, s. 271.

⁴ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, t. 10, s. 699; B. Natoński, I. Szornel, *Ramowy życiorys o. Jerzego Szornela SJ (1637–1702)*, mps w Redakcji Polskiego Słownika Biograficznego, s. 10.

⁵ J. Wimmer, *Przegląd operacji w wojnie polsko-szwedzkiej 1655–1660*, [w:] *Wojna polsko-szwedzka 1655–1660*, s. 184.

⁶ M. Surdacki, *Urzędów w czasach królów elekcyjnych (1573–1795)*, [w:] *Dzieje Urzędowa*, red. R. Szczygieł, M. Surdacki, Lublin–Urzędów 2011, s. 187–188.

Paweł Grudzień

Działania wojenne w okolicach dworu w Moniakach w dniach 5–16 lipca 1915 r.

Lipiec roku 1915 to w dziejach I wojny światowej na Lubelszczyźnie stopniowy odwrót wojsk rosyjskich z zajmowanych terenów, przerywany zaciekłymi walkami toczonymi przez nie, na kolejnych opóźniających liniach obrony, z postępującymi za carską armią jednostkami austro-węgierskimi i niemieckimi. Już na początku lipca walki objęły tereny całej gminy Urzędów, stanowiąc część wielkiej bitwy nazwanej potem drugą bitwą pod Kraśnikiem – była to pierwsza próba powstrzymania działającej na tym odcinku austro-węgierskiej 4. armii arcyksięcia Józefa Ferdynanda przez jednostki 4. armii rosyjskiej gen. Ewerta. Działania bojowe w okolicach samego Urzędowa opisałem w poprzednim artykule opublikowanym w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” z roku 2011. Poniższy artykuł opisuje pokrótce wycinek zmagania w zachodniej części gminy, a konkretnie w okolicy dworu w Moniakach znajdującego się w 1915 r. pomiędzy Bobami a Moniakami.

Dwór w Moniakach wybudowany został około roku 1760, a jego pierwszymi właścicielami byli chorąży żytomierski Jakub Wierzbicki oraz jego syn Jacek. Podczas swojego istnienia był wielokrotnie remontowany,

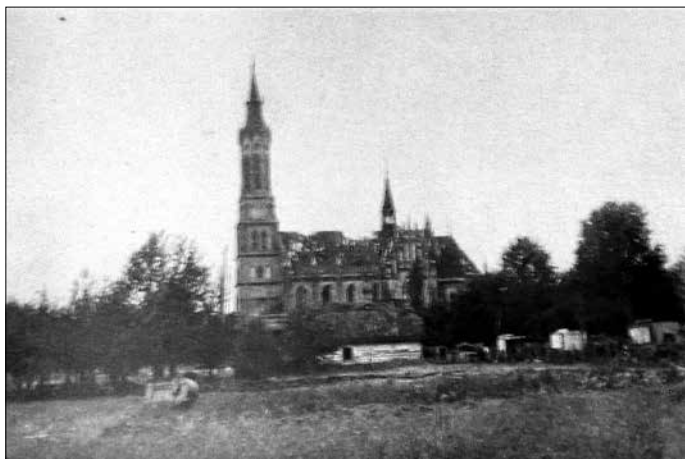


Dwór w Moniakach (www.moniaki.eu)

a generalną przebudowę przeszedł w roku 1909, tuż przed wybuchem I wojny światowej. Na początku lipca 1915 r. dwór, podobnie jak i sąsiednie miejscowości leżące w dolinie strumienia Podlipie, znalazł się pomiędzy dwiema rosyjskimi liniami obronnymi, przygotowanymi uprzednio m.in. rękami miejscowej ludności wzdłuż

częściowo zalesionego brzegu Urzędówki oraz na wzgórzach na północ od linii Chruślina–Boby–Moniaki. Po stronie rosyjskiej broniły się tu jednostki należące do 3. dywizji grenadierów – 10. Małorosyjski Pułk Grenadierów i 12. Astrachański Pułk Grenadierów (dalej pp gren.), natomiast do ataku na ich pozycje sposobili się Niemcy z 47. rezerwowej dywizji piechoty (dalej rez. dp), a konkretnie 217. i 218. rezerwowe pułki piechoty (dalej rez. pp).

Walki rozpoczęły się w dniu 5 lipca. Początkowo okoliczni mieszkańcy mogli jedynie domyślać się, co oznacza dochodząca zza lasu i potężniejąca z każdą chwilą kanonada – w tym czasie Austriacy próbowali wgrzyźć się w rosyjskie pozycje pod Urzędowem, z kolei Niemcy czynili to samo w okolicach Idalina. Zapewne jedynymi widocznymi oznakami toczącej się bitwy w tym dniu były transporty rosyjskich rannych w jedną stronę i posiłków w drugą. Walczących żołnierzy mieszkańcy Bobów i Moniaków ujrzeli fizycznie około południa 6 lipca. Wczesnym rankiem tego dnia niemieckie oddziały zdobyły bowiem leśne pozycje Rosjan nad Urzędówką i wyparły ich w kierunku Chruślanek. Rosyjscy grenadierzy próbowali jeszcze szczęścia w kontrataku, jednak wskutek jego odparcia i utraty licznych jeńców otrzymali ok. godziny 10 rozkaz wycofania się na wspomnianą drugą linię obrony, biegnącą wzgórzami okalającymi od północy dolinę strumienia Podlipie. W tej sytuacji cywilni mieszkańcy znaleźli się pomiędzy niemieckim młotem a rosyjskim kowadłem... Pewnym schronieniem okazał się kościół w Bobach, gdzie okoliczni mieszkańcy ukryli się na czas walk.



Kościół w Bobach (www.moniaki.eu)

Niemcy uporządkowali pod osłoną lasu swoje szeregi i ruszyli do dalszego ataku – w stronę dworu w Moniakach skierowano I batalion 217. rez. pp. Jego żołnierze około godziny 14 pojawili się na wzgórzach pod Mikołajówką, na co tylko czekali nie tylko grenadierzy z 10. pp gren. ukryci w okopach na przeciwległych wzgórzach, ale również rosyjscy artylerzyści, rozpoczynając ostrzeliwanie schodzących w dół Niemców z dział różnego kalibru. Ci ostatni nie mieli zatem łatwego zadania – co prawda początkowo poruszanie się wśród wysokich łąń wózków zapewniało jako taką osłonę, jednak na samym dnie doliny znajdowały się silnie zabagnione łąki, co wyraźnie spowolniło tempo natarcia. Do godziny 17 znajdujący się pod nieustannym ostrzałem niemieccy żołnierze zdołali

dotrzeć do niewielkiego lasu położonego na pd.-zach. od dworu w Moniakach, a po zapadnięciu zmroku zajęli Boby. Silny ostrzał nieprzyjacielskiej piechoty i artylerii nie pozwolił im jednak na przeprawę na drugi brzeg strumienia Podlipie. Rozstrzygnięcia nie przyniosły także walki toczony na zachód od Bobów, gdzie – pomimo przekroczenia strumienia – nie udało się zdobyć świetnie zamaskowanych pozycji rosyjskich grenadierów, którym dodatkowo przybyły posiłki w postaci dwóch batalionów 31. Aleksiejewskiego Pułku Piechoty. Noc żołnierze niemieccy spędzili, korzystając z żelaznych racji żywności, gdyż dotarcie kuchni polowych było w tych warunkach niemożliwe.



Zamaskowane stanowiska artylerii przed Urzędowem (pocztówka NKN z 1915 r. ze zbiorów Jana Przywary)

Rankiem 7 lipca wznowiono walki, jednak początkowo przynosiły one Niemcom równie mizerne efekty co poprzednio. Około południa bezskuteczność frontalnych ataków skłoniła niemieckie dowództwo do podjęcia próby zajęcia znajdującego się na lewym skrzydle rosyjskich pozycji dworu w Moniakach. Zadanie to przypadło 3. kompanii z I batalionu. Pomimo nieustającego ostrzału nieprzyjaciela dowodzone przez podporucznika Friedricha 2 plutony z jednym karabinem maszynowym zdołały przedostać się przez strumień Podlipie i zajęły dwór. Na rosyjski kontratak nie trzeba było długo czekać: około godziny 17 carscy żołnierze ruszyli do ataku w stronę dworu zarówno z północy, jak i ze wschodu, spośród zabudowań Moniaków. Ppor. Friedrich zareagował błyskawicznie, rozmieszczając część swoich ludzi wzdłuż drogi prowadzącej z dworu do drogi Moniaki–Kolonia Boby, wzmacniając ich dalszymi 3 karabinami maszynowymi a resztą obsadzając zabudowania dworskie. Rosjanie kryjąc się za drzewami i zabudowaniami, powiewając dla zmylenia przeciwnika białymi flagami, podeszli na odległość 50 m od niemieckich pozycji, jednak zostali przywitani tak zajadłym ostrzałem z broni ręcznej i maszynowej, że po krótkiej wymianie ognia wycofali się na pozycje wyjściowe.

O ile na niemieckim odcinku frontu Sprzymierzonych utrzymywała się względna równowaga, znacznie gorzej dla nich wyglądała ona nieco dalej na wschód, w kierunku Urzędowa. Tam bowiem rosyjskie dowództwo wykorzystując osłabienie i zmęczenie przeciwnika dotychczasowymi walkami, przygotowało plan silnego kontruderzenia na linii Urzędów–Popkowie–Wilkołaz,

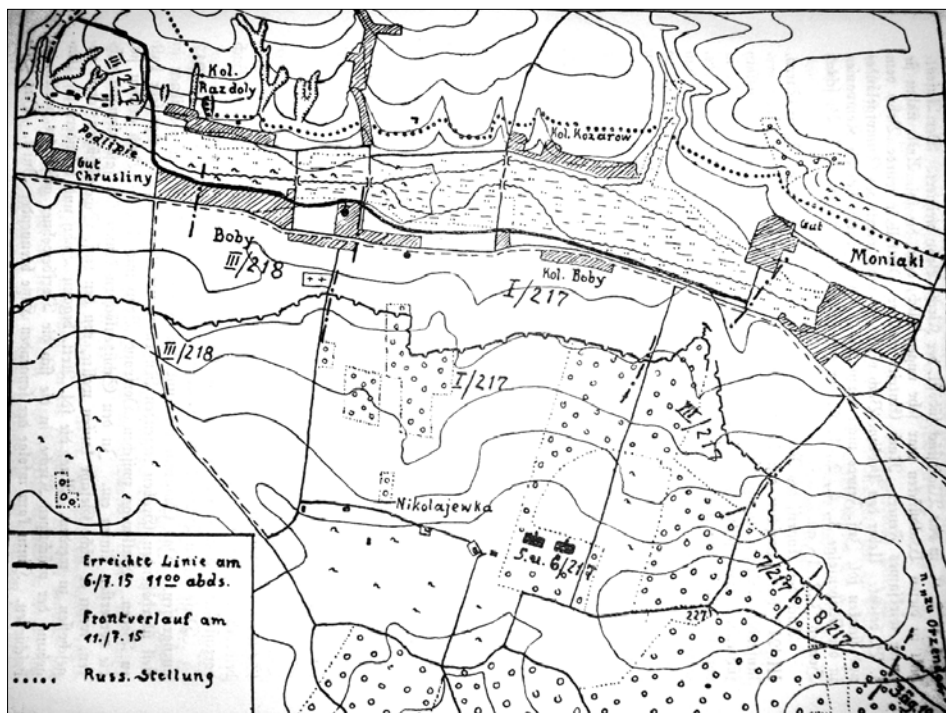
które rozpoczęło się już w godzinach porannych 7 lipca. Znajdujące się tam pozycje austro-węgierskie zostały wskutek tego przełamane a jednostki Sprzymierzonych odrzucone daleko na południe, co stwarzało zagrożenie dla prawej flanki jednostek niemieckich pod Moniakami i wymagało zdecydowanej interwencji tych ostatnich na tym właśnie odcinku.

Wskutek zaistniałej sytuacji niemieckie dowództwo zdecydowało się na odwrót z północnego brzegu strumienia Podlipie i wycofanie oddziałów na zalesione wzgórza na południe od strumienia. Odskok rozpoczął się po zapadnięciu zmroku. Na tyły ewakuowano też mieszkańców Bobów, po czym zabudowania wsi zostały podpalone celem ułatwienia obserwacji przedpoła. 8 lipca niepokojeni przez Rosjan Niemcy spędzili na umacnianiu swoich pozycji na wzgórzach na południe od strumienia Podlipie. Naprzeciwko moniackiego dworu jeden pluton z 9. kompanii 217. rez. pp obsadził dodatkowo wysuniętą w stronę strumienia krawędź lasu – w najbliższych dniach miała stać się ona miejscem zaciętych walk. Na wysokości dworu w Moniakach pozycje niemieckie łączyły się ze znajdującymi się na prawo od nich węgierskimi żołnierzami z 18. dywizji piechoty Honwedu (dalej dpH).

Względny spokój panujący w okolicy moniackiego dworu skończył się w dniu następnym, 9 lipca, kiedy to Rosjanie, ukończywszy na tym odcinku przygotowania do pogłębienia uzyskanego pod Urzędowem przełamania, rozpoczęli silne natarcie. Pierwszym zwiastunem nadchodzących kłopotów było zauważenie około południa rosyjskiego obserwatora na wieży kościoła w Bobach. O tym, że nie pojawił się on tam w celu podziwiania widoków, świadczyło rozpoczęcie ok. godziny 15 potężnego ostrzału rosyjskiej artylerii, skierowanego na niemieckie pozycje na wzgórzach. Półtorej godziny później ruszyła do ataku rosyjska piechota – początkowo tyraliery grenadierów uderzyły na Niemców z rejonu Bobów, a o godzinie 19 do natarcia dołączyli także carscy żołnierze skoncentrowani w rejonie dworu i samych Moniaków. Rosjanie przekroczyli dolinę strumienia i okopali się u podnóża wzgórz zajmowanych przez oddziały niemieckie, oczekując na zapadnięcie ciemności. Wkrótce plac boju rozświetlały jedynie płomienie z palących się zabudowań, nieustanny ostrzał prowadziła też carska artyleria. Wtedy to, około godziny 2 nad ranem wzdłuż rosyjskich linii przebiegł ognisty wąż wystrzałów z broni ręcznej po czym grenadierzy ruszyli do szturm na pozycje niemieckie. Dziesiątkowani przez znajdujących się powyżej Niemców wytrwale parli w górę. Jako pierwszy w ich ręce wpadł wysunięty fragment lasu naprzeciwko dworu w Moniakach – broniący go niemiecki pluton pod dowództwem ppor. Schorlemiera został otoczony i rozbity

w ataku na bagnety. Najwięcej kłopotów sprawił Rosjanom umieszczony tu karabin maszynowy, który skutecznie spowalniał ich postępy – jego walcząc do ostatniego naboju obsada uległa dopiero gdy grenadierzy zdołali zająć ją od tyłu. Rosjanie stracili tu około 200 poległych. Po zdobyciu wysuniętej pozycji Niemców, carscy żołnierze uderzyli na położoną za nią główną linię umocnień. Tutaj jednak zderzyli się z silnym kontratakiem znajdujących się w rezerwie niemieckich kompanii, wspartych dodatkowo dwiema kompaniami Węgrów z 18. dpH – grenadierzy nie utrzymali pola i tracąc 30 jeńców oraz licznych poległych zostali zmuszeni do wycofania się na wzgórza za Moniakami. Podobny przebieg miały też walki naprzeciwko Bobów i około godziny 3 nad ranem Rosjanie rozpoczęli ogólny odwrót na pozycje wyjściowe. W ręce Niemców wpadło ogółem 170 jeńców i kilkaset sztuk rosyjskich karabinów. Straty własne walczącego w bezpośredniej okolicy dworu w Moniakach 217. rez. pp wyniosły ponad 200 rannych i zabitych.

Jak się potem okazało, leśne pozycje 47. rez. dp i 18. dpH na wzgórzach naprzeciwko moniackiego dworu stały się zbawiennym zawiasem całego frontu Sprzymierzonych w rejonie Urzędowa – znajdujące się na prawo



Rozmieszczenie oddziałów na odcinku frontu w okolicy Bobów (za: *In West und Ost. Kriegsbilder aus der Geschichte der 47. Reserve-Division, Monachium 1917*)

jednostki austro-węgierskie zostały bowiem odrzucone aż za Wyżnicę i jedynie utrzymaniu pozycji przez Sprzymierzonych pod Bobami i Moniakami należy w głównej mierze zawdzięczać decyzję rosyjskiego dowództwa o wstrzymaniu rozwijającego się nadzwyczaj dobrze ataku i powrocie na pozycje wyjściowe w obawie przed atakiem nieprzyjaciela na swoje tyły.

Przez kolejne dni jednostki Sprzymierzonych pozostawały na swoich dotychczasowych pozycjach – walki trwały na innych odcinkach lubelskiego frontu. Dalsze działania w rejonie Moniaków i Urzędowa oddziały austro-węgierskiej 4. armii podjęły dopiero 16 lipca.

Znajdujące się naprzeciwko dworu jednostki niemieckie otrzymały wówczas rozkaz wsparcia atakującej na prawo od nich 37. dpH. Jako cel nocnego natarcia wybrano tym razem odcinek pomiędzy dworem a samymi Moniakami. Atakować miały dwa bataliony 217. rez. pp – II batalion miał przemieszczać się naprzód przez zabudowania dworskie, a III batalion przez resztki zabudowy Moniaków. Budynki obsadzały nieliczne rosyjskie straże przednie, właściwe carskie pozycje rozciągały się na wzniesieniach ok. 300 m dalej. Atakujące kompanie ok. godziny 1.30 bez większych przeszkód zajęły zarówno dwór, jak i same Moniaki, jednak nie udało się im bezgłośnie unieszkodliwić rozmieszczonych tu rosyjskich posterunków i te, wycofawszy się na główną linię obrony, zaalarmowały

z 1 karabinem maszynowym) i odłożyć dalsze ataki aż do późnych godzin wieczornych. Wznowienie walk nastąpiło ok. godziny 22, jednak tylko nielicznym żołnierzom udało się dotrzeć do rosyjskich zasieków z drutu kolczastego – w zaistniałej sytuacji ok. północy nakazano ogólny odwrót na pozycje wyjściowe na północnym skraju zabudowań dworskich i Moniaków. W trakcie całego dnia obydwa atakujące niemieckie bataliony poniosły wysokie straty – II batalion: 51 zabitych i 131 rannych, III batalion: 40 zabitych i 144 rannych.

W kolejnych dniach wyczerpane jednostki niemieckie nie podejmowały już dalszych prób ataku, ograniczając się do penetrowania przedpola w poszukiwaniu rannych i zabitych towarzyszy. Rankiem 19 lipca patrole zameldowały o wycofaniu się Rosjan z ich niezdobytch do tej pory pozycji. Niemieckie oddziały ruszyły wkrótce dalej, a działania wojenne szczęśliwie już nie powróciły w te okolice.

Ówczesna właścicielka majątku dworskiego, Zofia Zembruska, tak w skrócie wspominała te wydarzenia:

„W r. 1915 w czerwcu i lipcu zwycięskim pochodem przyszły znów wojska Niemiec i Austrii na ziemię naszą. Toczyły się krwawe walki na polach Moniak, Bobów, pod wzgórzem Podlipie i wąwozem Dąbrówką. Spalone zostały od szrapneli i granatów zabudowania gospodarskie Wierzbicy i Moniak

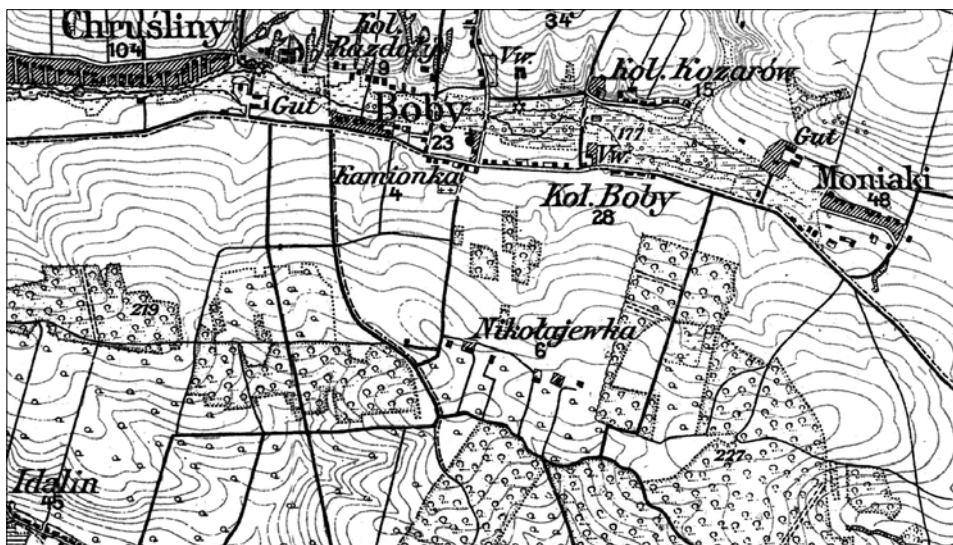
– ocalał tylko stary dwór, spichlerz murowany i kilka starych budynków. Na polach i w ogrodzie poległo przeszło 200kilkudzieściu Rosjan i 360 pruskich żołnierzy i oficerów, z których 49 leżało rok cały pogrzebanych pod stuletnią lipą tuż koło dworu, zanim władze przeniosły poległych na specjalny cmentarz w Bobach”.

Wspomniany wyżej cmentarz w Bobach zachował się do dnia dzisiejszego na południe od wsi Boby – kryje łącznie szczątki poległych w tej okolicy w latach 1914–1915 ok. 350 żołnierzy austro-węgierskich i rosyjskich oraz 246 żołnierzy niemieckich.

Po II wojnie światowej dwór w Moniakach został przejęty przez państwo i pomimo dalszego użytkowania stopniowo popadał w ruinę. Od całkowitego zniszczenia ocaliło go przeniesienie w roku 1977 do Janowca, gdzie od tej pory stanowi jeden z cenniejszych zabytków w zbiorach Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym.

Bibliografia:

1. *Das Reserve-Infanterie-Regiment Nr. 217 im Weltkrieg*, Berlin 1932.
2. Dąbrowski M., *Cmentarze wojenne z lat I wojny światowej w dawnym województwie lubelskim*, Lublin 2004.
3. De Lazari A. H., *Aktiwnaja oborona korpusa po obytu dienstuij 25-go armejskiego korpusa pod Opatowom w maje i pod Krasnikom w julie 1915 r.*, Moskwa 1940.
4. Zinserling Z., *Moniaki. Dwór i jego mieszkańcy w dokumentach i wspomnieniach*, [w:] www.moniaki.eu.
5. Strona internetowa: www.janowiec.pl.



Fragment mapy austriackiej z 1915 r.

jej obsadę o nadchodzącym niebezpieczeństwie. W ten oto sposób miał powtórzyć się scenariusz z 7 lipca, kiedy to Niemcy w krwawych walkach musieli zdobywać silne rosyjskie pozycje obronne. Skoro więc plan ataku z zaskoczenia spalił na panewce, obydwa niemieckie bataliony rozpoczęły staranne przygotowania pozycji wyjściowych do generalnego szturmu. Przy akompaniamencie ognia artyleryjskiego z obydwu stron, nieustannie ostrzeliwane przez Rosjan niemieckie jednostki okopały się wzdłuż polnej drogi prowadzącej z dworu w stronę Wierzbicy. Dawało to jako taką ochronę przed nieprzyjacielskim ostrzałem, który miał z wyżej położonych pozycji doskonały wgląd na przedpole. Szturm rozpoczął się o godzinie 7.30. Atakujących miały wspierać 2 karabiny maszynowe rozlokowane w zabudowaniach dworskich oraz 3 dalsze strzelające ze znanej już dobrze krawędzi lasu za strumieniem Podlipie. Na niewiele to się zdało i nacierający żołnierze ponosząc duże straty w zabitych i rannych (w tym obydwaj dowódcy batalionów) zostali zmuszeni ok. godziny 9 do zaprzestania ataku i okopania się w miejscu, gdzie aktualnie się znajdowali. Prowadzący atak oficerowie meldowali o bezcelowości ataku podczas dnia a padający deszcz i niemożność odtransportowania rannych na tył dopełniały ten nieciekawy dla Niemców obraz. Niemieckie dowództwo zdecydowało się wesprzeć walczących żołnierzy nowymi siłami (pod dworem pojawiła się kompania z 19. rezerwowego batalionu strzelców

Marian Surdacki

Felician Sławoj Składkowski z I Brygadą w Urzędowie – na podstawie pamiętnika polowego

Felician Sławoj Składkowski urodził się 9 czerwca 1885 r. w Gąbinie pow. Gostynin. W roku 1904 ukończył gimnazjum filologiczne w Kielcach i rozpoczął studia na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. W tym czasie związał się z Polską Partią Socjalistyczną. 13 listopada 1904 r. uczestniczył w zbrojnej manifestacji PPS na placu Grzybowskim w Warszawie. Aresztowany i osadzony w więzieniu na Pawiaku, po miesięcznym śledztwie został przeniesiony do Kielc pod nadzór policji. W związku z tymi wydarzeniami usunięty z Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1906, chcąc uniknąć rozprawy sądowej, przeniósł się do Krakowa. Tam kontynuował studia lekarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskując w 1911 r. dyplom. Od stycznia 1914 r. kierował lecznicą chirurgiczną w Sosnowcu.

Po wybuchu I wojny światowej 13 sierpnia 1914 r. wstąpił do organizujących się w Miechowie Legionów Polskich. W tym czasie po raz pierwszy spotkał się z Józefem Piłsudskim. W październiku 1914 r. uzyskał stopień podporucznika. Od grudnia tego roku pełnił funkcję naczelnego lekarza 1. pułku piechoty Legionów Polskich. Następnie był m.in. naczelnym lekarzem 5. i 7. pułku piechoty Legionów Polskich. Wraz z I Brygadą przeszedł cały szlak bojowy, szczególnie wyróżniając się w czasie walk pod Kostiuchnówką w lipcu 1916 r. W roku 1915 otrzymał awans na porucznika, a w 1916 r. na kapitana. W związku z kryzysem przysięgowym w lipcu 1917 r. został internowany przez Niemców w obozie w Beniaminowie. Po zwolnieniu z obozu w sierpniu 1918 r. rozpoczął pracę jako lekarz w kopalni „Saturn” pod Sosnowcem. W listopadzie 1918 r. kierował akcją rozbrajania Niemców w Zagłębiu Dąbrowskim, pełniąc przez krótki czas funkcję dowódcy Okręgu Wojskowego w Dąbrowie Górniczej, a następnie oficera sztabu tego okręgu.

W lutym 1919 r. mianowany został szefem sanitarnym przy Inspektoracie Piechoty Legionowej. W kwietniu tego roku został szefem sanitarnym 2. Dywizji Piechoty Legionów. W roku 1919 uzyskał stopień majora, a następnie podpułkownika. W czasie wojny polsko-sowieckiej początkowo służył na froncie litewsko-białoruskim, będąc m.in. szefem sanitarnym GO gen. Lucjana Żeligowskiego. Następnie pełnił funkcje: szefa sekcji organizacyjnej Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, szefa sanitarnego GO Jazdy gen. Jana Sawickiego, GO „Dolna Wisła”. Od końca sierpnia 1920 r. był delegatem rządowym przy Polskim Czerwonym Krzyżu. Pod koniec października tego roku przeniesiony do Szpitala Ujazdowskiego, a następnie ponownie do Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych. W roku 1920 mianowany został pułkownikiem.

Od sierpnia 1921 r. pozostawał na stanowisku inspektora w Wojskowym Instytucie Sanitarnym. W roku 1923 ukończył kurs dla wyższych oficerów w Rembertowie, w 1924 r. przebywał na stażu w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu. Od października 1924 r. sprawował funkcję szefa Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych. W tym samym roku uzyskał awans na stopień generała brygady.



Gen. Felician Sławoj Składkowski. Fot. CAW

Podczas zamachu majowego w 1926 r. stanął po stronie marszałka Józefa Piłsudskiego. Od maja do października tego roku zasiadał na stanowisku komisarza rządu na m.st. Warszawę. Od października 1926 r. do grudnia 1929 r. pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych w rządach: J. Piłsudskiego, K. Bartla i K. Świtalskiego. Następnie powrócił do wojska i w styczniu 1930 r. mianowany został szefem Administracji Armii.

Po przeniesieniu w stan spoczynku w czerwcu tego roku, objął ponownie stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Sprawował je do czerwca 1931 r. w gabinetach: W. Sławka, J. Piłsudskiego i A. Prystora. Pełniąc wspomnianą funkcję, uczestniczył w działaniach skierowanych przeciw opozycji, które zakończyły się aresztowaniem posłów i osadzeniem ich w twierdzy brzeskiej.

W roku 1930 wybrany został na posła z listy państwowej. Do parlamentu wybierany był również w wyborach w 1935 i 1938 r. Po odejściu z MSW powrócił do czynnej służby wojskowej, obejmując stanowisko II wiceministra spraw wojskowych i szefa Administracji Armii. W roku 1936 uzyskał awans na stopień generała dywizji. 15 maja 1936 r. z inicjatywy Edwarda Śmigłego-Rydza objął funkcję premiera i ministra spraw wewnętrznych. Na stanowisku tym zasiadał do końca września 1939 r., będąc tym samym szefem najdłużej urzędującego gabinetu II Rzeczypospolitej.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. wraz z rządem ewakuował się z Warszawy (6 IX). Wobec sowieckiej agresji na Polskę 17 września przeszedł na teren Rumunii, gdzie został internowany przez władze rumuńskie w Slanic. Później przeniesiono go do Baile Herculane. 30 września 1939 r. podał się do dymisji, którą przyjął już nowy prezydent Władysław Raczkiewicz. W czerwcu 1940 r. zbiegł z internowania i przedostał się do Turcji. Jego próby o przyjęcie do WP były przez gen. Władysława Sikorskiego odrzucane. Ostatecznie, po interwencji prezydenta W. Raczkiewicza, uzyskał zgodę na przyjazd do Ośrodka Zapasowego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w Palestynie. Po pojawieniu się tam w styczniu 1941 r., przez kilka miesięcy zajmował się inspekcją sanitarną jednostek i instytucji WP stacjonujących na tym obszarze. Jednak w maju 1941 r. został przeniesiony do „2 Grupy”. W efekcie do końca wojny pozostawał bez przydziału. W tym czasie prowadził prywatną praktykę lekarską.

Po zakończeniu wojny przeniósł się do Wielkiej Brytanii i zamieszkał w Londynie. Był autorem wielu wspomnień oraz artykułów, wśród nich: *Moja służba w Brygadzie*, *Pamiętnik polowy*, *Z walk Pierwszej Brygady*, *Beniaminów* oraz *Nie ostatnie słowo oskarżonego*. Zmarł 31 sierpnia 1962 r. w Londynie.

Odznaczony był m.in. Orderem *Virtuti Militari* kl. V, *Polonia Restituta* kl. I, Krzyżem Niepodległości, trzykrotnie Krzyżem Walecznych oraz Złotym Krzyżem Zasługi (PAP).

Felicjan Sławoj Składkowski, jeden z najbardziej znaczących i zarazem najbardziej kontrowersyjnych polityków okresu II Rzeczypospolitej, jest autorem kilku ważnych publikacji o charakterze wspomnieniowo-kronikarskim: *Beniaminów 1917–1918*, *Strzepy meldunków* (Warszawa 1936), *Kwiatuszki administracyjne i inne* (Londyn 1959), *Nie ostatnie słowo oskarżonego* (Londyn 1964). Najważniejszą z nich, nie tylko z punktu widzenia naszej lokalnej historii urzędowskiej jest pamiętnik polowy *Moja służba w Brygadzie*, wydany w 1990 r. nakładem wydawnictwa Bellona w Warszawie.

Pisanie pamiętnika rozpoczął Sławoj Składkowski 13 sierpnia 1914 r., w dniu wstąpienia do Legionów,

w których zgodnie z wykształceniem przydzielono mu funkcję lekarza pułkowego. Utrwalanie na piśmie sprawozdań z działań wojennych kontynuował aż do końca listopada 1916 r. Czynił to konsekwentnie, na bieżąco, czasami codziennie, niekiedy z kilkudniowymi przerwami, podążając wraz z I Brygadą jej szlakiem jako lekarz wojskowy, a prywatnie jako kronikarz wojenny. Utrwalał nie tylko fakty *stricte* wojenne, ale również sceny z życia mieszkańców. Gdy jego brygada dotarła na początku lipca 1915 r. na Lubelszczyznę, około 10 stron swego dziennika poświęcił wydarzeniom wojennym rozgrywającym się przez tydzień w Urzędowie i okolicach. Relacje na ten temat spisywał w dniach 12, 13, 15, 16 i 18 lipca. O okolicznościach opuszczenia Urzędowa przez Legiony i towarzyszących temu pożegnaniach pisał już 21 lipca w Kolonii Dobrowola. Wtedy też i stamtąd utrwał pismem przebieg wydarzeń i przemarsz wojsk brygady przez Leszczynę i Łopiennik.

Wartość źródłowo-historyczna pamiętnika jest bardzo wysoka. Wierność i wiarygodność zarejestrowanych zdarzeń gwarantuje spisywanie ich na bieżąco z punktu widzenia bezpośredniego uczestnika, niezaangażowanego w dowodzenie bądź w walkę, która uniemożliwia dokładną i szerszą obserwację. Fakt pozostawiania poza strukturami wojskowo-militarnymi I Brygady i formalna niezależność pełnionej funkcji lekarskiej, pozwolił mu na większą obiektywizację opisywanych faktów, utrwalanych bardziej z punktu widzenia dziennikarza wojennego czy kronikarza wojennego niż bezpośredniego „bohatera” rozgrywających się zdarzeń.

Pamiętnik ów należy traktować jako niezwyklej wagi dokument o wielowymiarowych wartościach dla badań historycznych. Po pierwsze jest on znakomitym źródłem do dziejów pierwszej wojny światowej, w dużym stopniu toczącej się na terenach polskich, zwłaszcza w Małopolsce. Po drugie stanowi niezastąpioną bazę informacji do poznania historii I Brygady dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego. Wreszcie po trzecie, jest bezcenną „kopalnią” wiedzy do rekonstrukcji historii lokalnej, a więc miast i wsi, przez które przetaczał się wraz z I Brygadą Legionów front wojenny i w których rozgrywały się ważniejsze bitwy.

Niewątpliwie taką wartość dla poznania przebiegu działań wojennych w Urzędowie i okolicach posiada diariusz polowy Składkowskiego. Bez odniesienia się do zawartych w nim opisów i relacji, obraz wydarzeń mających miejsce w lipcu 1915 r. na naszej urzędowskiej ziemi byłby zdecydowanie niekompletny, a w zasadzie tylko fragmentaryczny. Pozwala on odtworzyć nie tylko fakty wojenno-militarne, czy strategię walczących stron (wojsk austriacko-legionowych z oddziałami rosyjskimi), ale także ogrom katastrofalnych zniszczeń materialnych, które przyniosła wojenna pożoga.

Z pamiętnika lekarza pułku piechoty Legionów Polskich dowiadujemy się, że w mieście oprócz zniszczonego częściowo kościoła (spalone wieże) ocalała jedynie plebania, urząd gminy i kilka małych domków. Na plebanii i w gminie pełno było uciekinierów i mieszkańców miasteczka ze spalonych domów. W jednym z ocalałych domków, w którym autor utrwał na papierze swoje

obserwacje, mieścił się punkt opatrunkowy, przez niektórych nazywany szpitalem czy lazaretem polowym¹. Nieznane były dotychczas okoliczności zrabowania przez Moskali starych, pięknych dzwonów kościelnych, które jak wynika z diariusza, zdjął z wieży kościelnej w ostatniej chwili przed ucieczką wojsk rosyjskich miejscowy kowal. Według miejscowej ludności, „gdyby nie jego gorliwość dzwony by ocalały, bo Moskale nie umieli sami je odkręcić”. Nie mniejszą wagę posiada opis schwytania rosyjskiego szpiega i podpalacza, przy którym znaleziono zaszyte w chomątach jego konia upoważnienie do palenia okolic na północ od Sandomierza. Za podpalanie chałup i wywołanie ogromnego pożaru miasta mieszkańcy powiesili go na wierzbie na przedmieściu Urzędowa.

W pamiętniku można też znaleźć wiele wątków dotyczących życia codziennego w dniach przetaczania się frontu. Dowiadujemy się z niego o gościnności urzędowian,

¹ Być może chodzi tu o domniemywany lazaret wojskowy z czasów I wojny światowej, który miałby istnieć na miejscu stojącego dzisiaj w Urzędowie domu rodziny Hevelke. Informację, na podstawie opowieści członków tej rodziny, że w momencie budowy tego domu wykopywano liczne kości ludzkie świadczące o możliwości grzebania tam zmarłych ofiar wojny, przekazała nam ostatnio dr Małgorzata Ciosmak. Nie znalazła ona dotychczas żadnego potwierdzenia, lecz relacja Felicjana Sławoja Składkowskiego każe takiej wersji nie wykluczać.

o gromadzeniu się po nabożeństwach, wedle dawnego zwyczaju, miejscowych kobiet na pogaduszki obok pompy na rynku i nie zważających na ciągly ostrzał ze strony Moskali. Najbardziej sentymentalny wydźwięk posiadają opisy kontaktów między urzędowskimi pannami a legionowymi żołnierzami, którzy dla *pięknych Venus* „myją się, czeszą a są i tacy, którzy czyszczą sobie buty i ubrania”. Z kolei najsmutniej wyglądały sceny pożegnań, którymi przepełnione było miasteczko. Pocałunkom dziewcząt dawanym wojakom na drogę towarzyszyły bowiem łzy i zaproszenia do Urzędowa po skończonej wojnie.

Wraz z I Brygadą Legionów i frontem austriacko-rosyjskim przez Urzędów przewinęło się wiele wybitnych osobistości życia politycznego II Rzeczypospolitej. Przebywali oni przez kilka dni w naszym mieście, tak jak nie wspomniany w „urzędowskim” fragmencie pamiętnika Józef Piłsudski rezydujący w domu Aleksandra Golińskiego. Przez Urzędów przechodził też, o czym pisał autor, wraz z I pułkiem Edward Rydz-Śmigły, w przyszłości marszałek i Naczelnny Wódz. Także sam Składkowski wpisał się później w poczet eksponowanych i najważniejszych polityków, piastując przez ponad trzy lata stanowisko premiera państwa, najdłużej w historii międzywojennej Polski.

Felicjan Sławoj Składkowski

Walki w Lubelskiem

7 lipca. Wałowice, w parku na murawie, pod oknami dworu, gdzie mieści się komenda pułku. — Wczoraj o godzinie 4 rano wymaszerowaliśmy z Dąbrowy. Widocznie flirt, rozpoczęty przez naszych chłopców we dnie na drzewach wiśniowych, rozwijał się pomyślnie wieczorem już na murawie, gdyż na pożegnanie nasze wyległo jeszcze więcej dziewcząt niż na powitanie. Obok nich stały matki, wyznające zasadę, że córki pilnować należy do ostatniej chwili. Gdy tak ważyły się w powietrzu ostatnie chwile wielu pożegnań bez słów, nagle w pierwszej czwórce jeden z żołnierzy, wsparty na karabinie, a za nim cała kolumna ryknęli refren znanej piosenki:

Ale ona mi nie dała

Bo się mamy, mamy bardzo bała!

Dziewczęta udały, że nie wiedzą, o co chodzi, ale matki zaczęły się śmiać z widoczną ulgą z powodu tych śpiewanych zapewnień.

Tak wyszliśmy ze wsi, zostawiając piękną połowę jej ludności „pod dobrym wrażeniem”.

We wsi Huta łączymy się z V batalionem, po czym przez Folwark Stary, Świeciechów, Bliskowice i Popów dochodzimy do Wałowic. Od godziny dziesiątej rano bawkujemy nad brzegiem Wisły, tuż naprzeciw spalonej Wesółki i Słupi, którą poznaję po kościele, leżącym w kotlinie na drugim brzegu Wisły.

Upał straszny, jakże przyjemnie więc byłoby zanurzyć się w wodzie. Niestety, jesteśmy w ostrym pogotowiu

i obywatel major mimo moich przedstawień nie pozwala na kąpiel.

Ludność miejscowa opowiada o Mikołaju Mikołajewiczu i legionistach polskich po stronie rosyjskiej. Już zmierzcha się, a pozwolenia na kąpiel nie ma. Niektórzy żołnierze, korzystając z osłony krzewów i drzew, kąpią się na własne ryzyko w odnodze rzeki. Wykrywamy ich, spacerując z drem Piestrzyńskim, którego pułk leży obok naszego. Udagemy, że nie widzimy tej zakazanej kąpieli, gdyż sami byśmy zrobili to samo, gdyby nie nasze „wysokie” szarże.

Wreszcie ruszamy pod dwór w Wałowicach. Jest tu już sztab artylerii austriackiej, więc dają nam tylko jeden pokój dla komendy pułku. Stąd w mieszkaniu śpi tylko major, a ja z nowym adiutantem pułku, obywatelem Sękiem, śpimy na kocach rozłożonych na trawie w parku.

Z początku gadamy, patrzymy w gwiaździste niebo, słuchając gry jakiegoś artylerzysty austriackiego, który dobrze oddaje mazurki Chopina. Drzewa szumią w parku, w trawie cykają świerszcze... zasypiam.

Budzimy się dziś o 7 i pół rano pod promieniami słońca, które różnie nam światło prosto w oczy. Spożywamy śniadanie jeszcze w parku, gdzie przyjmują trzech chorych żołnierzy. Tutaj otrzymuje obywatel Ramułt definitywną nominację na sierżanta sanitarnego, na którą zupełnie zasłużył swą pracą. Nie udało mu się tylko, gdy zapomniał w Biedrzychowcie spisu rannych, ale wyjechał

furą i spis przywiózł. Poza tym jest bardzo obowiązkowy, poważny i troskliwy dla rannych. Szybko przyswoił sobie najpotrzebniejsze wiadomości lekarskie, tak że nie tylko umie dobrze opatrzyć ranę, ale i maruderowi „użyć” potrafi jakimiś kroplami. Żołnierze odnoszą się do niego z szacunkiem i nazywają „obywatелеm doktorem”.

O godzinie 9 rano odmaszerowujemy do Stefanówki. Upał już dokucza, toteż z ulgą odpoczywamy w soczystym lesie, w cieniu dębów, brzoź i sosen. Drzemiemy, leżąc na trawie i patrząc w niebo przez gałęzie, poruszane przez wiatr nad naszymi głowami. Z dala gdzieś słychać wystrzały armat. Tak nie chcemy myśleć o wojnie i o tym, że ktoś z nas może być zabity.

Ale oto, gdy człowiek już drzemać zaczyna, przecina powietrze: „Powstań! Zbiórka!”. Jest więc naprawdę wojna. Teraz przesuwamy się kompaniami przez wyniosłe, piaszczyste wzgórze, które jest pod obserwacją rosyjską. Szybko przejeżdżamy konno tę przestrzeń i sztab czeka znów na przejście pułku. Ja beztrósko znów leżę na brzegu lasu. Przede mną pole, na którym pszenica jeszcze zielonkawa, ale żyto już białe, gotowe do cięcia. Jako smutny kontrast do tego życia – dwa spalone przez Moskali stogi.

Widocznie Moskale kryli w tym lesie odwrót, bo na brzegu wykopali szereg płytkich, pojedynczych dołków strzeleckich, takich, jakie żołnierz kopie pośpiesznie wieczorem, gdy wie, że ma odejść z nich nad ranem.

Siedzimy spokojnie. Prowadzimy z księdzem Żytkiewiczem, kapelanem pułku, leniwą dyskusję o ważności i nieważności przysięgi złożonej państwu zaborczemu. Zresztą nie unosimy się, jest nam tak dobrze, cicho i spokojnie, tu, w cieniu drzew.

Wreszcie cały pułk przeszedł przez otwarte wzgórze i zapadł w cień lasu.

Żołnierze przeważnie śpią. W tej chwili z taborów przyprowadzają pod bagnetami aresztowanego Austriaka, który w sprzeczce uderzył naszego żołnierza. Obywatel major każe go odprowadzić do brygady. Austriak ma widocznego „pietra”, byśmy go nie „dokończyli” gdzie w lesie. Odchodzi, oglądając się, popychany przez naszych żołnierzy. W przejściu przez Popów spotkałem się ze znajomymi z I batalionu. Odnowiliśmy wspomnienia znad Nidy.

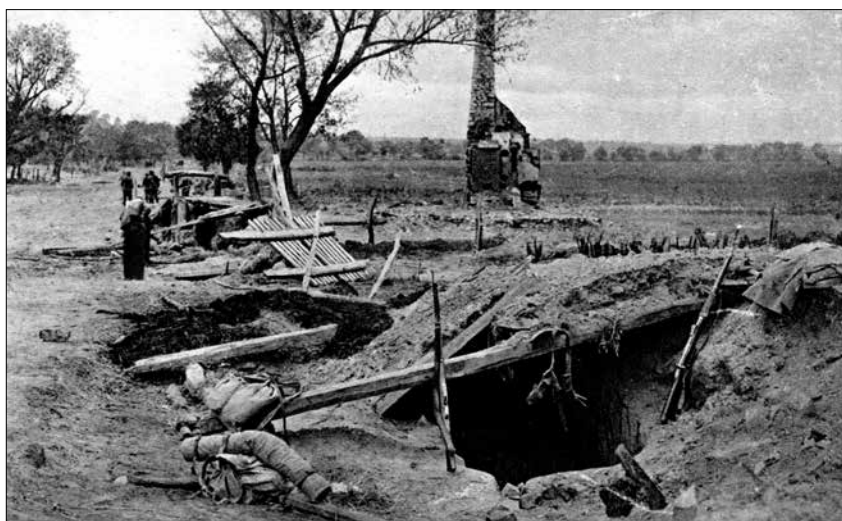
8 lipca. Pogodny wieczór w lesie na południe od wsi Wyżnica (która leży na północny zachód od Kraśnika). — Siedzimy w głębokim parowie, w budce, skleconej z gałęzi, niedaleko od punktu opatrunkowego 2. pułku. Przyszliśmy tu dzisiaj o godzinie 2 i pół w nocy okropnie pomęczeni, gdyż szliśmy, wprowadzając z odpoczynkami, ale od 11 rano do 2 w nocy po strasznym upale. Z lasu, gdzie odpoczywaliśmy po przejściu kompaniami wyniosłego wzgórza, doszliśmy do wsi Stefanówka. Tu żołnierze, pomęczeni, zziębnięci, spragnieni rzucili się do fatalnej studni, gdzie woda była jak rosół gęsta, rozrobiona kopytami koni i bydła. Obok leżały kupy nawozu. Zabroniłem im używać tej wody, ale ledwie się odwróciłem, znów

manierki zabulgotały w wiadrze, którym wydobywali tę wstrętną wodę. Jasne było, że po tej wodzie rozchoruje się połowa pijących ją żołnierzy. Rzuciłem się na biednych chłopców, a gdy nie chcieli słuchać, wyjąłem rewolwer i zmusiłem ich do odejścia od studni. Odeszli niezadowoleni, mrucząc: „To doktor tak robi!”.

W tej chwili myślę, że nie na wiele zdała się moja interwencja, gdyż inne kompanie piły taką samą wodę z dalszych studzien w chwili, gdy ja walczyłem z żołnierzami, których przypadkowo przy studni zdybałem. Sam czułem straszne pragnienie i tylko poczucie obowiązku wstrzymało mnie od wypicia tej „gęstej” wody. W pół godziny później dopędził mnie z wozem sanitarnym sierżant Ramułt i dał mi trochę kawy ze swej manierki.

Ze Stefanówki mieliśmy iść do Chrusłanek, ale nadeszła zmiana dyspozycji i wśród dalekiej trwającego skwaru ruszyliśmy polnymi drogami przez „piaski i laski” do Borku, Sosnowej Woli i Dzierzkowic.

W Borku ujrzelśmy dwóch Prusaków, pilnujących zdobycznego rosyjskiego karabinu maszynowego. Dalej – rozwinięty niemiecki „Reserve Hilfsplatz”, obstawiony wielkimi wozami, wypełnionymi przez rannych. Nie rozumiem, jak te wozy mogły dojechać aż tutaj w tak głębokim piasku. W kierunku punktu opatrunkowego idzie od frontu pastor, paru lekarzy i wielu rannych. Wszyscy „servusują” obywatela majora, jadącego na czele pułku. Borek jest ostatnią wsią, która jeszcze istnieje.



Okopy w spalonych Dzierzkowicach (pocztówka NKN z 1915 r. ze zbiorów Jana Przywary)

Dalej Moskale wszystko spalili. Sosnowa Wola i Dzierzkowice – to jeden cmentarz spalonych domów. Nic nie ocalało prócz studzien, z których nasi żołnierze znów piją wodę. Nie przeszkadzam im, co mam robić!

W tej chwili jakiś chłop z pierzyną na wozie zajeżdża przed swą spaloną zagrodę. Desperackim ruchem ściąga z głowy czapkę i coś mówi, nie wiem – modlitwę czy przekleństwo. Wreszcie wjeżdża i zatrzymuje furę na... klepisku nie istniejącej już stodoły. Poza nim i jego babą we wsi nie ma nikogo. Uciekli oni do lasu, gdy Moskale wypędzali ludność, i z daleka widzieli, jak palił się ich dobytek.

Biedna nasza ziemia: pali ją Moskal, by z bogactw jej nie mógł korzystać – Niemiec.

Pod wieczór już dochodzimy do ocalałej leśniczówki, gdzie dowiadujemy się, że po gwałtownych walkach Moskałe wybili parę pułków austriackich, stojących na prawo od Niemców, i że Austriacy się poddali. W tej chwili nie wiadomo, jak będzie linia bojowa i gdzie są Moskałe.

Wszystko to mówią nam w leśniczówce telefoniści niemieccy, którzy czują się tu bardzo niepewnie. Idziemy dalej w mrok leśny, kierując się biegiem porzuconych rosyjskich okopów. Orientacja w nocy jest bardzo trudna, gdyż nie można kierować się według miejscowości. Zdarza się nam przejść o 100 kroków od spalonej wsi i nie wiedzieć, że się obok niej znajdujemy. Stąd chwilami zupełnie nie wiemy, gdzie jesteśmy.

Tak maszerując wśród nocy, wpadamy na placówkę węgierską. Z trudem się porozumiewamy. Myśleli, że jesteśmy Moskałe. Niewiele brakowało, byśmy się postrzelali wzajemnie.

Obywatel major rozmawia z komendantem 15. pułku honwedów. Nie wie on nic o sytuacji, tak samo jak i my. Nie wiadomo, gdzie są Moskałe, możemy ich spotkać w każdej chwili. Musimy jednak wykonać nakazany przemarsz, więc idziemy dalej w gęstym lesie. Obywatel major każe nałożyć bagnet na broń na wypadek nagłego spotkania z Moskałami.

Jesteśmy już szalenie znużeni. Żołnierze ledwie się ruszają. Boję się u nich halucynacji i fałszywych alarmów, ale nie, maszerujemy wciąż w ciszy. Księżyc świeci przez konary drzew na ostrzach bagnetów.

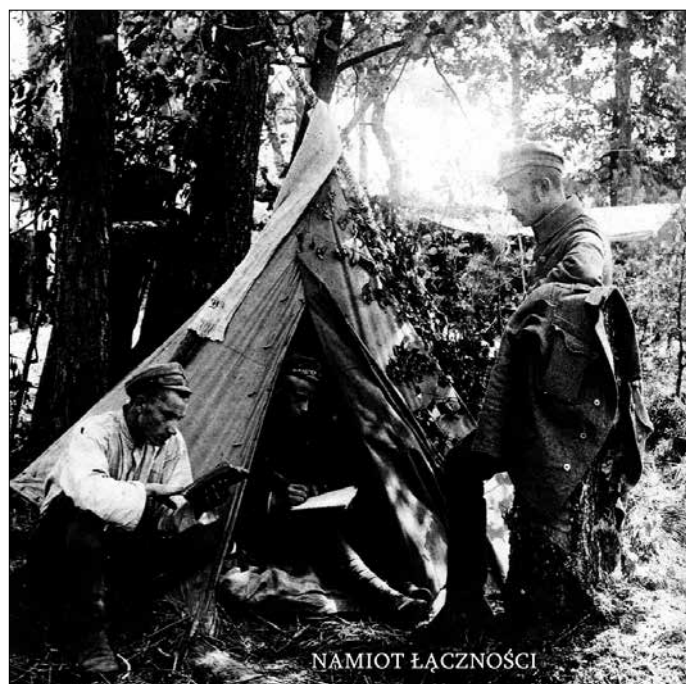
Znowu napotykamy jakieś okopy, jeszcze dobrze utrzymane. Idziemy wzdłuż nich i trafiamy po paru godzinach na jakiś dom w lesie. Tu dowiadujemy się, że jesteśmy już niedaleko od Wyżnicy. Obywatel major Trojanowski, mając do pomocy świetnego geologa, obywatela Satyra, wyprowadził nas w nocy mimo braku dróg i wsi, gdzie należy. Już świta, wchodzimy znowu do lasu i tu w parowie rzucamy się na ziemię, śmiertelnie znużeni.

Żołnierze spali do południa mimo słońca, upału i strzałów wokoło. Zbudzili się dopiero, gdy... podjechały kuchnie z obiadem. Okazuje się, że w nocy szliśmy mając bok kolumny zupełnie odsłonięty na wypadek natarcia Moskale. Ha, udało się!

Pod wieczór przeszliśmy na zachód od drogi, biegnącej między Wyżnianką a Wyżnicą, gdyż stojący przed nami 9. pułk piechoty austriackiej cofnął się ze wsi na brzeg lasu, w którym byliśmy. My więc, jako rezerwa, też musieliśmy się cofnąć. Tym sposobem linia odgięła się ku Kraśnikowi, który, zdaje się, jest niczyj. Przed zachodem słońca wyszliśmy z drem Piestrzyńskim do austriackich okopów, by zapoznać się z pozycjami rosyjskimi. Nikt jeszcze nie zna dobrze ich przebiegu, gdyż sytuacja zmienia się co kilka godzin.

Wpadliśmy więc w austriacko-niemiecko-rosyjską kaszę. Moskałe, zdaje się, sprali wczoraj i dzisiaj obydwóch sprzymierzeńców, a ci spędzają winę jeden na drugiego. Toteż nie tylko Austriacy mają wystraszone miny, ale i Niemcy są niezwykle potulni. Zły to u nich znak! Musieli dobrze dostać na skórę! Jeden z żołnierzy, zapytany przez kolegów o sytuację, powiedział: „Niech się ta trzepią, aż do skutku!”.

10 lipca. Na pułkowym punkcie opatrunkowym, w tym samym lesie, ale bliżej linii bojowej. — Wczoraj po południu pułk nasz zajął okopy w spalonej wsi. Z V batalionu poszły do pierwszej linii 3 kompanie. Jedna zostaje w rezerwie przy komendancie batalionu, obywatelu Olszynie. Gołąb ma punkt opatrunkowy koło nie spalonej kuźni. Ja przeniosłem się do wawozu w lesie, niedaleko linii bojowej. Wawóz łączy się skośnie z okopami, jest więc dobrym ukryciem do wynoszenia rannych. W tym wawozie 10 ludzi z VI batalionu zbudowało z gałęzi szałas na pomieszczenie punktu opatrunkowego. Poszło im to szybko i dostali ode mnie po 2 papierosy „Memphisy”. Odeszli więc zadowoleni. Ponieważ wczoraj nie mieliśmy jeszcze strat, rannych nie było, położyłem się spać w szałasie. Mrugały na mnie gwiazdy przez szpary w dachu i hukały w lesie sowy.



Namiot łączności (fot. ze zbiorów Jana Przywary)

Wóz sanitarny i sztabu pułku stały obok mnie na polanie. Konie: Siwutek, Dziunek i ogierki odeszły paść się do sąsiedniego głębszego wawozu, by nie paść ofiarą kul, które szły dosyć gęsto nad płytkim wawozem. Było pięknie i poetycznie, ale o świcie nieco chłodno. Toteż wstałem koło piątej rano, by ogrzać się na słońcu. Obok szalasu stał już Dudoń z Siwutkiem. Siwutek drzemał, oganiając się od małych, dokuczliwych muszek.

Dudoń opowiadał, że Siwutek tej nocy skopany został przez Dońkę i „płakoł bez śpasu, płakoł przytulony do sosny”. Dudoń usiłował nawet pokazywać mi ślady łez na mordzie Siwutka (oby Siwutek wybaczył mi to wyrażenie!), ale ja nic dostrzec nie mogłem, mimo że „płakoł bez śpasu”.

Dzisiaj wysłać należy sanitarny raport 10-dniowy, posyłam więc obywatela Bulińskiego po raporty stanu chorych i rannych do lekarzy batalionowych. Gołąb dał raport już gotowy. Dr Hedinger, opryskliwy jak zwykle, nie tylko nie dał raportu, ale powiedział do Bulińskiego: „Mam więcej roboty niż inni!”. W parę godzin później jednak raport nadesłał sumiennie.

Już słońce przypieka i rosa wyschła, musi być koło ósmej. Idę więc na śniadanie do komendy pułku, będącej w sąsiednim parowie, gdzie była „kwatery” Berbeckiego. Tu patrol nasz, wysłany przed okopy na folwark Wyżnianka, przyprowadza jeńca rosyjskiego, którego zaskoczył na folwarku. Jest to żołnierz z 7. pułku grenadierów. Zeznaje on, że w lesie przed nami w rezerwie stoją trzy bataliony jego pułku, a okopy na brzegu lasu są słabo obsadzone przez jeden batalion.

Jeniec zostaje odprowadzony do brygady. Celem sprawdzenia jego zeznań obywatel Trojanowski każe wysłać patrol przed folwark Wyżnianka w kierunku okopów moskiewskich. Patrol dochodzi bez przeszkody do folwarku i podsuwa się dalej zupełnie blisko pod okopy rosyjskie. Dopiero gdy już jest o jakie 30 kroków od brzegu lasu, zaczajeni Moskale otwierają ogień. Zostaje zabity strzałem w głowę jeden z naszych żołnierzy. Koledzy wynoszą trupa do naszych okopów. Ponieważ wywiad patrolu potwierdził zeznania jeńcy, obywatel major telefonuje do brygady, by las ostrzelała nasza artyleria.

12 lipca. Południe, w lesie, pod Urzędowem, obok komendy pułku, umieszczonej w namiocie, do którego idzie linia telefoniczna. — Wczoraj, 11 lipca, patrole nasze doniosły, że Moskale o świcie odeszli ze swoich okopów. Obywatel major Trojanowski zarządza natychmiastowy pościg. Jako straż przednią wyznacza dwie kompanie V batalionu, pod dowództwem porucznika Sawy.

Jest nam wszystkim wesoło i radośnie: idziemy naprzód, gonimy wroga. Nikogo nie ma przed nami. Będziemy więc bić się i... coś zdobędziemy z żywności. Siodłają nasze konie w parowie obok szalasu, który nazwaliśmy „willą komendy”, i sztab pułku rusza ze strażą przednią. Na drodze naszej leży defile leśne, bardzo dogodny do zrobienia zasadzki przez Moskale. Nim więc reszta pułku wyszła z okopów, porucznik Sawa rusza z półbatalionem i obsadza las. Jedziemy z nim w cudny słoneczny ranek po rosą pokrytej trawie nad rzeką Wyżnianką. Dogania nas kawaleria, która jedzie ścigać Moskale. Na przeszkodzie leży niegłęboka, ale bagnista rzeka Wyżnianka. Kawalerzyści zbijają z kilku desek kładkę, po której z trudem, ale bez wypadku przeprowadzają swe konie. Już siedli na koń, już rwą po łące i giną za lasem. My przeprowadzamy również swoje konie i przechodzimy linię milczących, opuszczonych okopów rosyjskich, z których wczoraj został zastrzelony nasz patrolowiec.

Takie przekraczanie linii okopów na wojnie przypomina przejazd przez granicę państwa w czasie pokoju. Jest wrażenie przejścia w inne, nowe, nieznane życie.

Paręset kroków za okopami rośnie grupa sosen. Odpoczywamy w ich cieniu, by nie wysunąć się przed nasze patrole. Widać już stąd płonące miasteczko Urzędów, podpalone zapewne przez uciekających Moskale.

Główna siła straży przedniej stoi jeszcze tuż przed lasem, podczas gdy patrole badają lasy, stojące po bokach defile. Wreszcie straż przednia rusza żwawo naprzód,

a my brzegiem lasu jedziemy do cmentarza z murem porozbijanym przez granaty, gdzie zostawiamy nasze konie. Stoją tu już konie honwedów, którzy wyjechali na podjazd.

Podobno gwałcą oni po wsiach dziewczęta, a chłopów biją, gdy bronią kobiet. Zachowują się, jak w kraju podbitym.

Gdy stoimy przed cmentarzem na przedmieściu Urzędowa, nasz patrol przyprowadza od strony miasteczka jakiegoś człowieka w rosyjskiej bluzie wojskowej, który, płacząc się, opowiada, że jedzie z Warszawy do Lublina i że został zatrzymany przez naszych. Furman jego, chłopak o jasnych jak len włosach, mówił, że dostał rozkaz jechać z tym człowiekiem od wójta i sołtysa, tak jak na podwodę. Mieszkańcy Urzędowa, którzy nadeszli z patrollem, twierdzą, że jeszcze dzisiaj rano ten sam człowiek z resztkami ustępujących Rosjan podpalał chałupy mimo próśb ludności.

Obywatel major każe dobrze pilnować podejrzanego ptaszka, a my siadamy na konie i jedziemy do palącego się Urzędowa, w którym jeszcze słychać strzały. Gdyśmy wjeżdżali do miasta, jakiś starszy człowiek mówi: „Panowie, czemuście nie przyszli dwie godziny wcześniej, byłiby nas Moskale nie spalili, a tak – patrzcie!”



Ułani Beliny w lesie pod Urzędowem (pocztówka NKN z 1915 r. ze zbiorów Jana Przywary)

Rzeczywiście, po obu stronach ulicy dopalały się zabudowania. Dym i ogień zasłaniały widok. Z boku gdzieś szły dosyć gęsto kulki karabinowe, chociaż nasi wypchnęli już Moskale z miasteczka. Przed ocalałą chałupą spotykamy starszyzną kawalerii: Belinę, Orlicza i innych. Jedzą oni już pachnącą jajecznicę, zagryzają białym chlebem, a popijają świeżutkim mlekiem.

Ha! niegodziwcy, objadają nam „naszą” okolicę. Nie darmo chłopcy, gdy mijala nas na łące kawaleria, krzyčili: „Oho, śpieszmy się, bo kawaleria zje zaraz wszystkie jaja w Urzędowie!”

Trzeba przyznać, że ulani byli gościnni i wspaniałomyślni: dali i nam zjeść. Zjedliśmy, ale oczywiście nie przekreśla to naszych pretensyj.

Być ugoszczonym przez piechurę, to znaczy móc podzielić z nim żywność, zdobytą okazjnie nie częściej jak raz na tydzień.

Kawalerzysta to zupełnie co innego. On siądzie na konia, podjedzie w czasie marszu kilometr w bok od drogi i już ma wszystko.

Piechur, zgarbiony pod swoim plecakiem, nawet nie widzi tej chałupy, stojącej z boku, a choćby i widział, to i tak nie pójdzie za nic, bo jakżeby dopędzał potem kolumnę.

No, ale nie „psioczmy” na kawalerzystów, bośmy jedli „ich” jajecznice, chociaż w „naszym” miasteczku.

W tej chwili w miasteczku zaczyna się ruch wojska... To nasza przednia straż wchodzi całą swą siłą. Na górcę, na północ za odnogą spalonego przedmieścia, wszczyna się również ruch w terenie. Moskałe schodzą liniami tyralierskimi z góry i giną w zakrytym terenie przed miasteczkiem. Idą tak otwarcie i w takim porządku, że jest chwila wątpliwości, czy to nie Prusacy. Ale nie, przez lornetkę widać, że to Moskałe.

Obywatel major każe podciągnąć linię na brzeg miasteczka. Chłopcy skaczą przez ocalałe płoty i zalegają w rowie przydrożnym. Za płotem, w krzakach przyciłał się obywatel Prot z karabinem maszynowym. Już zagadkała jego maszynka, już łupią nasi do Moskali. Już z ich strony gwizdzą kulki. Jednym słowem wesola utarczka – w dzień słoneczny.

Ogień karabinowy staje się coraz gęstszy. Stajemy za chałupą. Konie nasze klusem wieją z luzakami za cmentarz. Przyprowadzają rannych z patrolu, który był za miasteczkiem i wpadł w zasadzkę moskiewską. Nasi rozpoznali Moskali dopiero na 15 kroków, bo ci siedzieli ukryci w życie i czapki pookręcali sobie żytem, tak że ich widać zupełnie nie było. Jeden ranny ma przestrzelone przedramię, a drugi ramię, ze złamaniem kości i ogromnym otworem wylotowym postrzału. Jest to rana zapewne zadana pociskiem z „berdanki” i przypomina straszne rany od „werndla”.

Przypuszczenia moje potwierdza jeniec, Żydek, sanitariusz 11. pułku grenadierów. Mówi on, że do każdego pułku piechoty rosyjskiej przydzielony jest batalion „opółczenia”, uzbrojony w berdanki. Nasz ranny otrzymał postrzał od takiego z „opółczenia”. Muszę się zająć rannymi. Opatruję ich na miejscu, za chałupą. Teraz trzeba myśleć o transporcie. Biorę jednego ułana – łącznika, idziemy do cmentarza, siadamy na nasze konie i jedziemy do Wyżnianki. Tam saperzy już kończą budowę mostu na rzece. Cały pułk nasz już podciąga do Urzędowa.

Odwożę meldunek obywatela Trojanowskiego do Komendanta Głównego z prośbą o zajęcie Urzędowa, by uchronić resztę miasteczka od spalenia. Obywatel Komendant mówi, że zostaje na miejscu, gdyż główna linia bojowa ma biec przed Urzędowem.

Zabieram moje wozy pod rannych i jadę przez nowy most do Urzędowa. W drodze spotykam na bryczce obywatela Jura – „bracie kochany”. „Zaopiekował się” on, jako szef żandarmerii, podpalaczem schwytanym rano. Ma być oddany pod sąd polowy. W naszych sumieniach wydaliśmy już na niego wyrok wobec oskarżenia go przez ludność. Broni go jeszcze jeden tylko ks. kapelan Żytkiewicz.

Wracam do Urzędowa. Nasi odparli atak Moskali. Wysyłam moich rannych. Austriacy i Niemcy zajęli pozycje poza Urzędowem, a tylko my jesteśmy wysunięci

naprzód, nie tyle z potrzeby wojennej, ile by ochronić resztę ludności od spalenia przez Moskali. Zostajemy więc przez dzień w miasteczku, staczając z Moskalami drobne utarczki. Otaczają oni miasteczko z trzech stron i chcą obrzydzić nam życie ciągłym strzelaniem.

Z tego naszego wysuniętego położenia wychodzą dziwolągi następujące. Kuchnie nasze spokojnie dojeżdżają przez linię dawnych okopów rosyjskich obok cmentarza aż do Urzędowa, a patrole austriackie z Wyżnianki dochodzą zaledwie do cmentarza z nałożonymi bagnietami. Oni robią poważny wywiad tam, gdzie jeżdżą nasze kuchnie!

Po stronie prawej od miasteczka wysyłamy tylko ubezpieczające patrole. Na lewo od nas we wsi Dzierzkowice, dokąd pojechałem celem wyszukania wygodnej drogi, również spotkałem tylko parę naszych patroli. Cała wieś spalona na długości ośmiu kilometrów. Ocalał tylko kościół. Wieś tę patrolują również honwedzi. Szukają nie tyle Moskali, ile grzebią w zgłiszczach, by wyszukać coś dla siebie. W okopach we wsi Moskałe przed odejściem ustawili manekin z karabinem „na straży”. Jest to swoisty humor „odwrotowy”.

W miasteczku samym kopiemy prowizoryczne okopy. Na noc w Urzędowie zostawiliśmy tylko placówkę, a my cofnęliśmy się na brzeg lasu. Komenda pułku i punkt opatrunkowy były w grupie sosen nad Wyżnianką, gdzie właśnie to piszę. Spaliśmy w ubraniach, w ostrym pogotowiu, z karabinkami przy boku. Kilka dni temu Moskałe wawozami obeszlili Austriaków, którzy zapuścili się, tak jak my, pod Urzędów, zabrali 5000 jeńców i nastrzelali ich jak kaczek. Toteż pilnujemy się całą noc. Nawet przy moich wozach stoi warta.

Nie śpią i Austriacy, którzy siedzą z nami i za rzeczką w okopach z trzema karabinami maszynowymi. Rakiety ich i reflektory oświetlają w nocy nie tylko nasze placówki i cały nasz pułk, ale i nasz tabor prowiantowy obywatela Horowica, który „sparkowany” jest na 500 kroków przed ich okopami. Austriacy proponowali obywatelowi Horowicowi, by cofnął się za ich okopy, ale odpowiedział im, że czuje się zupełnie bezpieczny za linią naszych placówek.

Stojąc tak przed linią bojową, narażamy się, ale jesteśmy pewni, że w każdej chwili będziemy mogli obronić ludność Urzędowa przed spalaniem reszty miasteczka.

13 lipca. W tym samym lesie, obok namiotu komendy pułku. — Sytuacja ciągle bez zmiany. Nasz pułk stoi przed główną linią bojową w lesie, obsadzając na dzień miasteczko Urzędów, a na noc zostawiając tam placówkę.

Ludność z naszym przybyciem nabrała śmiałości. Wczoraj nad ranem mieszkańcy miasteczka zabili Moskała, który podkraść się o świcie, by podpalić dom. Nasi żołnierze opowiadają, że ludność miasteczka ma austriackie karabiny z zabitych przed paru dniami przez Moskali i obecnie karabinami tymi broni domów swoich przed podpalaczami, wysyłanymi przez Rosjan. Karabiny te chowają starannie i przed Moskalami, i przed Austriakami. Przy podpalaczu znaleziono prócz karabinu – nahajkę moskiewską. Poza tym całymi dniami i nocami patrole nasze ścierają się z Moskalami, naokoło miasteczka.

Schwytanego przed paru dniami człowieka w rosyjskiej bluzie, jadącego podwodą, powieszono na wierzbie

na przedmieściu Urzędowa. W czasie sądu przyznał się do szpiegowania i wskazał nawet na papiery, zaszyte w chomątach jego koni. Wśród papierów jest: „Patent na ajenta sztabu frontu” i upoważnienie do palenia okolicy na północ od Sandomierza oraz do badania przepraw na Wiśle. Wyrokiem sądu został on skazany na śmierć i powieszony przez naszych żandarmów. Na piersiach ma przywieszoną kartkę: „Szpieg i podpalacz, wysłany z Iwangorodu przez generała Schwarza”.

W lesie, w którym stoimy, zaczyna być fatalne powietrze z powodu rozkładających się trupów Austriaków, zabitych przez Moskali. Wiele zwłok chłopci już pochowali pod nadzorem austriackich żandarmów, ale znajdują się w gęstwinie coraz to nowe trupy, zdradzające się swym zapachem. Jeżeli tak pójdzie dalej, trzeba będzie las opuścić, bo nikt tu nie wytrzyma, nie mówiąc już o obawie epidemii.



Punkt sanitarny I Brygady przed Urzędowem (fot. ze zbiorów Jana Przywary)

W czasie walk w mieście mamy dwóch rannych naszych żołnierzy. Za to zabraliśmy do niewoli jeńca, Polaka. Jest on rezolutny wśród „swoich” (znaczy naszych żołnierzy), opowiada, że naprzeciw nas stoją pułki grochowski i poławski, a na prawo od nich – grenadierzy. Ci stoją już naprzeciw Niemców, będących na lewym naszym skrzydle. Drużyny „opółczenia” u nich w pułku mają dwa zdobyczne karabiny maszynowe austriackie. Wczoraj widzieli Moskałe, jak nad ranem wjechała do Urzędowa nasza kawaleria, by zmienić będący „na służbie” nasz V batalion. Podobno szykowali się już do odejścia z okopów, ale zatrzymali się, bo nasi nie nacierali zbyt silnie. Jeniec mówi, zdaje się, prawdę, gdyż i dzisiaj patrole doniosły nad ranem, że okopy moskiewskie puste. Gdy wysłano jednak dalsze zwiady, Moskałe otworzyli ogień i wywiązała się strzelanina, w rezultacie której zostaliśmy w Urzędowie. Myśleliśmy, że idziemy naprzód. Nawet konie komendy pułku były już posiadłane. Uciekinierzy, którzy przeszli przez linię frontu, opowiadają, że Moskałe wycofują się na Chodel, że przed nami mają tylko małe siły.

15 lipca. Urzędów, w chatce nie spalonej, na południowym krańcu miasta, wieczór. — O zmroku wszedł do miasteczka cały nasz pułk, na skutek dyspozycji dywizji austriackiej, do której jesteśmy przydzieleni. Na lewo

od nas, za naszym skrzydłem stoją honwedzi, za skrzydłem prawym stoi nasz 1. pułk. Kawaleria z karabinami maszynowymi obsadza wąż na prawo od nas, którym Moskałe obeszlili Austriaków kilka dni temu.

Wchodziłem do miasteczka z obywatelem Satyrem, komendantem VI batalionu. Wszyscy są szczęśliwi, że idą „naprzód” i że wyszli ze śmierdzącego lasu z trupami. Zaraz na wstępie, niedaleko cmentarza, w przerwie między krzewami i płotami zostaliśmy ostrzelani przez Moskali. Musieliśmy więc iść trochę luźniej, niż wypadało z towarzyskiej pogawędki. Obejrzeliliśmy nasze skromne okopy, po czym zaczęło się poszukiwanie dachu nad głową. Kościół jest spalony. Ocalała plebania, urząd gminy i kilka małych domków. Gmina i plebania pełne są uciekinierów i mieszkańców miasteczka ze spalonych domów. Jest ich dużo i w domku, gdzie mam punkt opatrunkowy i gdzie to piszę w tej chwili.

Żołnierze zostali umieszczeni w okopach, a rezerwa w parowach obok miasteczka. Klecą oni sobie szałas z gałęzi i resztek spalonych domów albo kopią wnęki w ścianach parowu. Obszedłem dla orientacji całe miasteczko. Wieczorem już, gdy szedłem obok płonących resztek domu i byłem w kręgu światła, kilka kul gwizdnęło mi nad głową. Rzuciłem się w ciemność i upadłem, potknąwszy się o spaloną belkę. Stłukłem się i powalałem, ale lepsze to niż być zastrzelonym.

16 lipca. Urzędów, godzina 6 po południu, w tej samej chatce na punkcie opatrunkowym. — W nocy i rano byłem w wężu przy szosie do Kraśnika. Nasi atakowali o 2 i pół w nocy okopy rosyjskie. Doszli do nich, ale nie byli podtrzymani przez Austriaków i wrócili nad ranem. Miałem 20 rannych. Jak się okazało, Moskałe mocno obsadzają jeszcze okopy, wbrew opowieściom uciekinierów.

Dzisiaj za dnia jeden żołnierz został zabity, gdy pompował do wiadra wodę przy studni w rynku. Widocznie jakiś Moskał stale ma w ostrzał to miejsce. Nasi żołnierze już znają wszystkie przejścia w mieście, osłonięte przed ogniem Moskali z wzgórz okolicznych, i miejsca, które dy chodzić niebezpiecznie, gdyż Moskałe strzelają tam we dnie i w nocy.

Wszystko objaśniają i rej wodzą żołnierze dwóch kompanii V batalionu, które pierwsze przed paru dniami weszły do Urzędowa. Każdy z nich ma swoją znajomą panienkę wśród mieszkańców miasteczka lub uciekinierów. W miejscach bezpiecznych spacerują ze swymi znajomymi, jak w „małym garnizonie”. Niektórzy nawet myją się, czeszą, a są i tacy, którzy czyszczą sobie buty i ubranie.

Wszystko to przez panny. Oczywiście ci, co panien nie mają, śmieją się z nich „na całego”. Tak potęga pięknej Venus ozłaca ciężką służbę w posłuszeństwie Marsowi. Reszta pułku z zazdrością patrzy na tych pierwszych żołnierzy, którzy już uważają się za „tutejszych”.

Nocne walki, straty dość duże i chmurna pogoda w dniu dzisiejszym nieco ostudziły zapały spacerowiczów, ale ich nie zdusiły. Ja z powodu deszczu przeniosłem się z rannymi na powrót do ocalałej chatki, gdzie siedzę w pierwszej izbie. W tej chwili leży u mnie trzech ciężko rannych, których nie mogłem wysłać dzisiaj. Reszta

odjechała, napojona kawą i mlekiem, którego dostarczyli w dużej ilości dla rannych mieszkańcy miasteczka. Mówią, że dadzą wszystko rannym za ocalenie domów od spalenia.

18 lipca. Niedziela, wieczorem, w urzędzie gminnym Urzędowa, w pokoju komendy pułku. — Przeniosłem się tutaj z rannymi, gdyż nie mogłem pomieścić się w białym domku. Rannych w naszym pułku było 32, prócz tego 7 zabitych.

Przyszła wiadomość, że Mackensen przełamał front moskiewski pod Tarnogórą i doszedł aż do linii kolejowej na północ od nas. Na lewym brzegu Wisły Woyrsch dochodzi już do Hżanki. Na pewno więc pójdziemy stąd już rychło naprzód, gdyż Moskałe muszą lada dzień zwiać.

Wczoraj jakiś major austriacki chciał tu rozstrzeliwać mieszkańców Urzędowa. Wystraszona kobieta przybiegła po mnie, krzycząc, że Austriak wyjął rewolwer na jej syna. Gdym dobiegł do domku, gdzie groził major, ten przezornie zwał.

Skloniło to nas do wypędzenia z miasteczka wszystkich honwedów i żandarmów austriackich, gdyż poczynali sobie brutalnie z ludnością cywilną. Wysyłamy specjalne patrole po 5 ludzi, które wyrzucają z miasteczka Austriaków. Ludność widzi to i jest nam wdzięczna za tę opiekę. Mamy wrażenie, że na tym kawałku gruntu istnieje Polska niepodległa, gdzie możemy nie dać krzywdzić rodaków przez starych i nowych najeźdźców. Niestety, pójdziemy stąd i Austriacy z Niemcami zniszczą to, czego nie zdołali spalić Moskałe.

Życzliwy stosunek ludności do nas przejawiał się w czasie dzisiejszej mszy polowej. Ksiądz kapelan Żytikiewicz odprawił dzisiaj mszę, na którą przyszli żołnierze i ludność cywilna. Wszyscy byli czyści i odświętnie ubrani. Zebrało się paręset ludzi. Miejsce było osłonięte przed okiem Moskali. W czasie kazania księdza ludzie płakali. Po nabożeństwie, w myśl odwiecznego zwyczaju, kobiety miejscowe zebrały się na rynku, obok pompy, którą stale ostrzeliwują Moskałe. Zapominając o wojnie, wszczęły swe pogadanki, zaczynające się od: „Moiściewy kumo...”, gdy każdej chwili Moskałe mogli zacząć strzelać z karabinów maszynowych. Dopiero patrole nasze musiały rozpraszać to zgromadzenie „po kościele”, które mogło sprowadzić na nas ogień Moskali.

Po południu zaczął padać deszcz. Może więc Moskałe, cofając się, nie będą mogli tyle spalić, co dotąd przy ładnej pogodzie. Wieczorem strzela nasza artyleria do okopów moskiewskich.

21 lipca. Kolonia Dobrowola, w komendzie pułku. — Pada drobny deszczyk.

Pogoda kwaśna i humory chłopców kwaśne po opuszczeniu Urzędowa, gdzieśmy byli tydzień, a jak na wojnę, to bardzo długo. Kolonia Dobrowola cała prawie spalona, a ludność wypędzona przez Moskali.

Przyszliśmy tu w sposób następujący. Całą noc z 18 na 19 lipca Moskałe strzelali mocno ze swych okopów z karabinów, a nawet z karabinów maszynowych. O świcie 19 lipca nasze patrole bez przeszkody doszły do pustych już okopów.

Zaraz też zaczął się ruch odmarszowy. W mglisty, deszczowy poranek zaczęliśmy szykować się do opuszczenia Urzędowa. Ludność wie, że za nami przyjdą żandarmi austriacy, którzy zaczną ją uciskać, żegna więc nas z wielkim żalem. Przed odmarszem przychodzą do mnie żydzi i katolicy, mieszkający razem u kowala, bym ich rozsądził w zawilej kwestii używania kuchni i podziału kątów w izbie, którą wspólnie zajmują. Jak umiem, tak rozsądzam ich waśnie, przy czym z wzajemnych przyrównań mych „podsądnych” dowiaduję się, że kowal, u którego mieszkają, zdjął w ostatniej chwili ucieczki Moskali piękne, stare dzwony z wieży kościelnej. Gdyby nie jego „gorliwość”, dzwony by ocalały, bo Moskałe nie umieli sami ich odkręcić. Zrobił to podobno za pieniądze. Warto by się zająć tym gagatkiem, ale nie ma czasu, gdyż zbliża się nasz odmarsz. Obywatel sierżant Ramułt związa mój punkt opatrunkowy, ładując kufry na wóz. Siwutek i Dziunek już pod siodłami, czekają przy urzędzie gminnym. O godzinie 8 i pół rano przeszła przez miasteczko kawaleria, 1. pułk Śmigłego i artyleria. My mamy ruszyć niedługo.

Miasteczko przepelnione scenami pożegnań. Wszystkie utajone sympatie wychodzą teraz na jaw w chwili rozstania. Jestem już gotów do odmarszu i siedzę w izbie urzędu gminnego przed otwartym oknem. Pada drobny deszczyk, jest zimno i kożuszek zarzucony na ramiona bynajmniej nie jest zbyt gorący.

Za krzakiem bzu widzę jedną ze scen pożegnalnych. Biorą w niej udział: dziewczyna, żołnierz i karabin.

Najsmutniejszy jest karabin, który leży i moknie na gałązkach bzu. Obok stoi strzelec w płaszczu narzuconym na plecak. Spod płaszcza wyglądają dwie głowy: jedna o bladej twarzy – to głowa strzelca, druga o buziaku krągłym i rumianym – to główka panny Basi. Kontrast kolorów twarzy występuje tym jaskrawiej, że dwie głowy przyklepione są do siebie w ostatnich pożegnalnych pocałunkach.

Wreszcie, gdy już słychać okrutne: „Zbiórka!”, padają bezładnie wyrazy:

Legionista: No niech mię panna Basia chociaż na ostatek pocałuje.

Panna Basia: Ee, nacałował się pan już aż zanadto przez te wszystkie wieczory!

Legionista: Ale panna Basia sama nie pocałowała mię ani razu.

Panna Basia: I nie pocałuję. Ja pocałuję pierwszy raz mojego narzeczonego na śmierć i życie, który będzie potem moim mężem.

Legionista (z żalem): To czegoś pozwalała mi się całować?!

Panna Basia: To co innego, to tak z sympatii tylko, że pan polski żołnierz.

Głos matki zza zgłiszcz komina, spalonego domu: „Baasia! Basiaa!!”.

Twarze legionisty i panny Basi instynktownie stykają się jedna z drugą w ostatnim długim pocałunku.

Panna Basia: Pocałuję pana i sto razy (wirywa się, i biegnąc do matki, krzyczy), jak pan przyjdzie po wojnie!

Legionista zostaje sam, w mokrym płaszczu, który smutnie zwisa w miejscu, gdzie przed chwilą przeżyło

się ciepłe ciało dziewczyny. Błdy żołnierz patrzy w kierunku, gdzie zniknęła jasna bluzka panny Basi, potem dostrzega jej włos na płaszczu. Zdejmuje go delikatnie i... puszcza na wiatr. Wreszcie bierze karabin i wyciera go troskliwie połą płaszczu, po czym idzie ciężkim krokiem do swej „czwórki” na rynku miasteczka.

Około godziny dziesiątej rano ruszamy wreszcie, przy mżącym deszczu. Mieszkańcy odprowadzają nas do ostatnich domów miasteczka. Kilku chłopów z miasteczka w ostatniej chwili wstępuje w nasze szeregi.

Już miesimy błoto, mijając kolejno wsie: Ludwinów, Leszczyna, Zakęcie, Białowoda, Ryczydół, kolonia Dobrowola. Ryczydół i Dobrowola całe prawie spalone (jak ludność twierdzi przez Austriaków), tak że z kwaterami bardzo skąpo, a tu cały dzień jak na złość kropi deszcz.

Zaraz za Urzędowem beliniacy złapali praporszczyka rosyjskiego, który bryczką w parę karych koni jechał z piekarni korpusu na pozycję i zbłądził. Gdy dostrzegł z daleka naszych, kazał woźnicy zawracać i zaczęli uciekać. Beliniacy postrzelili w pościgu woźnicę i złapali obu. Cieszą się więcej z pięknych koni niż z jeńców.

W Ludwinowie uciekinierzy, których Moskale musieli zostawić, gdyż wieli zbyt szybko, opowiadali, że posiłki moskiewskie, idące na pozycję, zostały już wczoraj zawrócone z drogi.

W czasie marszu obywatel porucznik Spława znalazł papiery rosyjskie porzucone w odwrocie. Wynika z nich, że Moskale mają mało amunicji karabinowej i artyleryjskiej, że wystrzelali jej za dużo w zeszłym tygodniu, że ogień karabinowy wolno otwierać dopiero z odległości 1000 kroków. Dobrze wiedzieć i to.

Na nocleg z 19 na 20 lipca zatrzymaliśmy się we wsi Ludwinów. Pod komendę pułku zajęliśmy największą chałupę. W godzinę po naszym przybyciu odstępujemy naszą chatę dla sztabu brygady, a sami przenosimy się do innej.

Niestety, „pech kwaterunkowy” prześladowuje nas tego wieczora. Oto gdy już zabieramy się do spania, nadchodzi rozkaz, że kwatery nasze ustąpić musimy czwartemu pułkowi legionów, który nadszedł i ma walczyć obok naszej brygady.

Z komendy brygady przyszedł surowy rozkaz, by natychmiast opróżnić kwatery, oddać je w porządku 4. pułkowi i przemaszerować na noc do wsi Leszczyna. Trzeba budzić naszych żołnierzy. Zaczyna się oddawanie kwater. Czwartacy stoją kolumną w ulicy wioski. Nasi chłopcy robią zbiórkę obok. Są oburzeni, że muszą oddawać kwatery żołnierzom, którzy nie byli jeszcze w bitwie. Trzeba im tłumaczyć, że taka jest wola Komendanta. Wtedy milkną.

W ciemności między dwiema kolumnami nawiązują się zaczepki słowne. Czwartacy są ubrani „prosto z igły” i mają z tyłu na czapkach naszyte białe kawałki płótna. Dali im to przy ekwipowaniu, na skutek ogólnego przepisu Austriaków, by po białych kartkach artyleria mogła odróżniać lepiej w terenie linię tyralierską. Naturalnie, jest to jeszcze jeden poroniony pomysł austriacki i nasi chłopcy wołają do czwartaków: „Obywatelu, pozwólcie waszą wizytówkę”.

W ciemności kawałki płótna wyglądają jak karteczki papieru. Czwartacy nie są dłużni w odpowiedzi i to

pierwsze nocne spotkanie nie odznacza się specjalnie przyjacielskim nastrojem. Za chwilę czwartacy zwycięsko znikają w drzwiach „naszych” oświetlonych chałup, a my na deszczysku wsiąkamy w ciemności jakichś parowów.

Noc czarna, choć oko wykol. Przewodnik, najęty za 2 korony, prowadzi nas z latarką na przełaj – po jakichś polach, laskach i parowach, mówiąc co chwila, że „Leszczyna ino widać!”. Chłopcy potykają się na bruzdach i korzeniach, włączają na krzewy i tu, już nie krępując się, kląną czwartaków, którzy w tej chwili śpią już na kwaterach. Wreszcie jakiś głęboki parów, po wyjściu z którego widzimy światelka. To Leszczyna. Drapiemy się na górę. Wchodzimy do stojącej tam chaty i zasypiamy snem kamiennym na naszej kwaterze, trzeciej już tego wieczora.

Następnego dnia, 20 lipca, śpimy do godziny 11 rano, czyli do chwili wydawania obiadu. Budzi nas gorące lipcowe słońce. Z deszczu wczorajszego ani śladu. Na niebie ani chmurki. Jesteśmy wypoczęci i czujemy się znacznie lepiej niż wczoraj. Okazuje się po dniu, że dom nasz nie stoi na górze, tylko drapaliśmy się do niego z parowu, którym prowadził nas przewodnik.

Wraz z dobrą pogodą, wyspaniem i najedzeniem się humor wraca do naszych szeregów. Chłopcy wybaczą już czwartakom nasze nocne przejścia i nawet bratają się z oddziałem, który kwateruje niedaleko nas.

Wybuchają jednak zatargi kompetencyjne między szarżami, szczególnie między starymi sierżantami naszej brygady, którzy dawno powinni być oficerami, a młodymi chorążymi 4. pułku. Szarży takiej u nas w ogóle nie ma. Taki zatarg wybuchł między sierżantem Dorkiem z naszego pułku a chorążym z 4. Poszło im o jakieś porządki przy kwaterze. Chorąży opierał się na swej szarży, a sierżant Dorek mówił, że „taki chorąży nie byłby u nas i kapralem”. Poza tym nasi mówią sobie „obywatelu”, a czwartacy „panie”. Ale zgrzyty są coraz słabsze, w miarę jak ubywa dnia. Już szeregowcy i oficerowie poznali się wzajemnie. Tarcia między podoficerami a chorążymi trwają.

Chłopcy porozkładali wszystkie swoje rzeczy na murawie i suszą je na słońcu. Ja proszę obywatela majora o pozwolenie wyjazdu do komendy brygady, do doktora Roupperta w sprawach służbowych.

Jadę drogą, którą przebyliśmy w nocy. Po dniu, z Leszczyny do Ludwinowa, i jeszcze w dodatku konno, wydaje się zupełnie blisko. Trafiam na chwilę, gdy w komendzie brygady saperzy budują pawilon, w którym ma być przyjęcie dla Roi i sztabu jego pułku. Jednocześnie wyszedł rozkaz obywatela Komendanta Głównego o połączeniu się naszych z braterskim 4. pułkiem piechoty.

Pod wieczór 1. pułk miał wspólny alarm z 4. pułkiem, gdyż będąca przed nami linia bojowa była zagrożona. To jednak przewaga artylerii austriackiej nad rosyjską sprawiła jeszcze raz, że Moskale musieli się cofnąć i atak został poniekany.

Białe kawałki płótna zaczynają znikać z czapek czwartaków.

Poszliśmy tego dnia spać, wypoczęci i pogodzeni z losem, mając na dzień następny rozkaz wymarszu o godzinie 3 rano, znowu, niestety, jako rezerwa brygady.

Rzeczywiście dzisiaj, 21 lipca, rano wyszliśmy z Leszczyny o godzinie 3 i pół i pod deszczykiem rżniemy na przód. Na miejscu napotykanym wsi znajdujemy tylko dymiące zgłiszcz. Takie zgłiszcz przedstawia wieś Ryczydół i kolonia Dobrowola. W jednej z nielicznych ocalonych chałup mieści się komenda pułku, gdzie też i piszę te wrażenia z dni poprzednich w czasie odpoczynku obiadowego w marszu.

Przedwczoraj, 19 lipca, kozacy w przeważającej liczbie zaatakowali nagle patrol beliniaków i zmusili do ucieczki. Jeden z beliniaków, który miał kiepskiego konia, nie zdołał uciec i kozacy go złapali. Pewnie już nie żyje, biedak.

Wyszedł rozkaz Komendanta, by każdy z naszych pułków dał obiad dla jednego batalionu czwartaków celem dalszego zbliżenia się między pułkami. Tak Komendant łamie nasze pułkowe przesady o „starszeństwo”.

Anna Wnuk

Hemplowie i uzdrowiska w Truskawcu i Marienbadzie

Uzdrowisko w Truskawcu zaliczało się w II Rzeczypospolitej do najbardziej modnych. Znajdowało się nieopodal Drohobycza. Jego załączki powstały już w pierwszej połowie XIX wieku. W dwudziestoleciu międzywojennym zbudowano tam 286 willi, hoteli i pensjonatów. Maszyny parowe transportowały wodę zdrojową wodociągami, w łazienkach instalowano ciepłe i zimne natryski z wodą borowinową, tworzone inhalatoria do oddychania powietrzem nasyconym słoną parą lub wyciągami z igliwia. Niektóre pensjonaty miały nawet centralne ogrzewanie.

Większość drewnianych willi w Truskawcu pochodziła z końca XIX w. i nawiązywała do góralskiego budownictwa ludowego. Do najbardziej reprezentacyjnych budowli należała dwukondygnacyjna willa właściciela uzdrowiska Rajmunda Jarosza, „Goplana”, z 1928 r. Miała drewnianą konstrukcję na kamiennej podmurówce, arkadowe galerie, łamany dach, rzeźbione detale filarów, arkad i balustrad, a wieńczący fasadę trójkątny szczyt ozdobiony był motywem rozchodzących się promieni¹.

Jednym z kuracjuszy uzdrowiska w Truskawcu był Jan Hempel, ziemianin ze Skorczyc. Jeździł tam raz w roku ze względu na uciążliwe problemy zdrowotne. Był jednocześnie duszą towarzystwa wśród przebywających tam przyjezdnych. Z pobytów w uzdrowisku Jan Hempel przysyłał pozdrowienia dla rodziny i znajomych. Tęsknił za domem, ale turnusy lecznicze poprawiały jego kondycję fizyczną i psychiczną. Podczas kuracji korespondował m.in. ze Stefanią Pękalską, nauczycielką z Urzędowa. W roku 1932 przysłał jej kartę pocztową z adnotacją „Truskawiec Zdrój, Willa »Marysia«”. Na widokówce była fotografia pt. „Źródło Bronisława”. W sierpniu 1933 r. Jan Hempel przebywał w Willi „Zacisze” w Truskawcu. Przesłał wówczas kartkę pocztową z fotografią „Willa »Maria Helena«” i pozdrowieniami dla Władysława Wnuka z Leszczyny. A oto treść tej korespondencji:

„Truskawiec Zdrój, Willa Zacisze 12/8 33 r.

Proszę o słówko odpowiedzi, co słyhać w straży? Zaraz po żniwach, żeby w niedzielę robili ćwiczenia. Czy Nowakowscy wpisali się z powrotem do straży? Co słyhać z Sokolem, czy są amatorzy, czy już skończone żniwa. Ja zabawię do 20 sierpnia, gdyż jeszcze nie wyleczyli mnie i po operacji czuję się osłabiony.

Z pozdrowieniami

Matce pozdrowienia Jan Hempel”



Jan Hempel w Truskawcu

Innym ośrodkiem odwiedzanym przez Polaków był Marienbad. Była to niemiecka nazwa czeskiego miasta Mariańskie Lázně. Od XIX w. ośrodek uchodził za popularny ośrodek turystyczny, ceniony przez europejskich monarchów i arystokratów. W międzywojennej Polsce stał się częstym celem wycieczek. Podróż do uzdrowiska rozpoczynano na dworcu kolejowym w Warszawie, a trwała ona ok. 20 godzin. Na kuracjuszy czekały parki i ogrody, zapach lasów iglastych, naturalne kąpiele z kwasu węglowego, kąpiele żelaziste, mineralne, borowinowe, hydroterapia, łaźnie parowe. Pito też marienbadzkie wody lecznicze. W uzdrowisku leczono czy łagodzone

objawy m.in.: otyłości, cukrzycy, podagry, miażdżycy, chorób serca, nadciśnienia².

Do tego modnego kurortu co roku przyjeżdżał Antoni Hempel urodzony w Skorczycach, właściciel Wałowic, brat Jana³. Pracę w majątku nadzorowała wówczas jego żona Halina z Krajewskich. Antoni był znanym działaczem społecznym, oświatowym, zaangażowanym w sprawy rolnicze i niepodległościowe. Miał poważne problemy ze zdrowiem, a we wrześniu 1921 r. podejrzewano u niego tyfus brzuszny⁴. Pod koniec 1923 r. poważnie zachorował, a piętnastoletni syn Zdzisław sprowadził do łóżka umierającego ojca swojego prefekta⁵. Właściciel Wałowic zmarł 19 grudnia 1923 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Świeciechowie.

Przypisy:

¹ M. Mozga-Górecka, *Uzdrowiska*, [w:] *Kresy Rzeczypospolitej. Wielki mit Polaków*, „Polityka. Pomocnik Historyczny” 2015, nr 2, s. 91.

² A. Zaprutko-Janicka, *Jak nasi przodkowie jeździli do Spa?*, ciekawostkihistoryczne.pl/2012/05/06/jak-nasi-przodkowie-jeździli-do-spa/, dostęp: 18.08.2015 r.

³ Halina z Krajewskich Hempel, *Fragment mojego życia*. Archiwum rodzinne, kopia w posiadaniu autora.



Zaręczyny Haliny Krajewskiej z Antonim Hephlem, Skoraczew, 1907 r.

⁴ List Zdzisława Hempla do matki Haliny Hemplowej z 25 września 1921 r.: rkps w posiadaniu rodziny.

⁵ *Wspomnienia o rodzinie Hemplów*, spisane w Lublinie w 1958 r. przez Marię ze Świdów Hemplową, mps w zbiorach rodzinnych, s. 10.

Anna Wnuk

Nieznane losy sztandaru powstań śląskich

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku w miejscowości Kłodnica w gminie Borzechów wybudowano kościół. W związku z tym w 1996 r. przeniesiono wiele elementów wyposażenia ze starej drewnianej świątyni do nowej. W trakcie tych prac odkryto za ołtarzem głównym tajemniczy przedmiot. Był tam starannie zabezpieczony sztandar. Z dużym zainteresowaniem oglądano znalezisko.

Sztandar był pięknie haftowany. Na jednej stronie (na awersie) znajdował się pejzaż z rzeką, słońcem, podobizna Tadeusza Kościuszki i rycerza z tarczą oraz powstaniec z karabinem i napis: „Związek Powstańców Śląskich Grupa Olza 2.6.1929. Straż nad Odrą”. W centralnym miejscu, na środku w obwodzie tarczy herbowej znajdował się herb Raciborza. Przedstawiał on w polu czerwonym



Awers i rewers sztandaru ukrytego za ołtarzem starego kościoła w Kłodnicy

z prawej strony pół orła srebrnego, z lewej pół koła wozowego z pięcioma pełnymi szprychami, dzwonami, gwoździami, oraz dwiema połówkowymi szprychami w miejscu przepołowienia. Według Niny Kracherowej Racibórz jako dziedzictwo książąt piastowskich ma w herbie pół koła, bowiem legendarny Piast był kołodziejem¹.

Na drugiej stronie sztandaru, w centralnej części znajdował się na białym tle napis: „[Królowo] Korony [Polskiej] Prowadź i wspieraj nas!” oraz wyhaftowana Matka Boża. Niestety wizerunek Matki Bożej i część napisu została wycięta. Poniżej na tarczy herbowej, na czerwonym tle był orzeł biały, ze złotą wstęgą pośrodku. Pozostałą część pola na sztandarze podzielono białymi pasami w kształcie krzyża na cztery kwatery. Pasy dochodziły do owalnej części znajdującej się w środku. Na czterech niebieskich polach wyhaftowano złote wieńce oliwne, a w nich daty: 7.8.1919, 10.8.1920, 3.3.1921, 20.3.1921.

Ówczesny proboszcz parafii Kłodnica ks. Władysław Kowalik podjął decyzję, aby odkryty przedmiot przekazać właściwej instytucji. Miał nadzieję, że zajmie się ona konserwacją, opracowaniem i udostępnianiem tego zabytku. Szczęśliwie dotarł do Muzeum Śląskiego w Katowicach. Dyrekcja tej placówki wysłała do Kłodnicy swoich przedstawicieli, którzy obejrżeli odkrycie. Okazało się, że jest to cenna pamiątka przeszłości. Tak wspominał okoliczności przekazania sztandaru pracownik Muzeum Śląskiego:

„Sztandar trafił do nas w lipcu 1996 roku. Chyba proboszcz z Kłodnicy po znalezieniu sztandaru w rzeczach zmarłej zakonnicy skontaktował się z Towarzystwem Myśli Bratniej w Katowicach. Ci postanowili, że sztandar powinien trafić do Muzeum Śląskiego. W którąś niedzielę pojechał samochód TVP Katowice z dziennikarzem, kamerą, przedstawicielami Myśli Bratniej i mną. Na plebanii dostaliśmy sztandar, TVP nakręciła parę minut reportażu i wróciliśmy do domu. Nikt nic o historii sztandaru nie wiedział. Podobno został przywieziony do Kłodnicy w 1939 roku i całą wojnę wisiał na tylnej ścianie ołtarza. Potem zaopiekowała się nim zakonnica. Ze sztandaru wycięto wyobrażenie Matki Boskiej i fragmenty napisu. Na moje pytanie, czym zajmowała się zakonnica usłyszałem, że haftowała sztandary. Prawdopodobnie wycięty fragment wszyty został w inny sztandar”².

Ustalono, że sztandar najprawdopodobniej powstał w latach trzydziestych XX wieku i należał do Związku Powstańców Śląskich „Olza”. W miejscowości Olza koło Raciborza funkcjonowała straż przy czeskiej granicy. Po wybuchu II wojny światowej osoba związana z organizacją w nieznanych okolicznościach znalazła się na Lubelszczyźnie. Wśród niewielu rzeczy, które zabrała, znalazł się sztandar. Prawdopodobnie traktowany był jak szczególnie wartościowy skarb. Kim był ów tajemniczy emisariusz, dlaczego ukrył ten sztandar w Kłodnicy, tego nie wiemy. Sprawa była okryta tajemnicą, a wtajemniczone osoby to zapewne ówczesny ksiądz proboszcz i siostry zakonne z Kłodnicy. Wszyscy spełnili swój patriotyczny obowiązek i przechowali sztandar, chroniąc go przed niemieckim okupantem.

W kłodnickim kościele znajduje się ołtarz boczny związany z historią sztandaru. Na tabliczce obok jest napis:



Ołtarz w nowym kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Kłodnicy

„Ołtarz Miłosierdzia Bożego został ufundowany przez Radę Miasta i Zarząd Miasta Katowice oraz Bractwo Myśli Bratniej Związku Górnośląskiego w dziękczynieniu za ocalenie i przechowanie od września 1939 do maja 1996 roku sztandaru Związku Powstańców Śląskich Grupy »Olza« przez Parafię Najświętszego Serca Pana Jezusa w Kłodnicy. Sztandar obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach”.

Walka Polaków o polskość Śląska jest godna podziwu i przyniosła oczekiwany efekt. Było to nie tylko odzyskanie części tych ziem, ale również ukształtowanie tradycji patriotycznych związanych z symbolami polskości. Opisywany sztandar traktowany był jak cenna relikwia przez tych, którzy w czasie II wojny światowej znów musieli walczyć z Niemcami o każdy skrawek polskiej ziemi i zachowanie tożsamości narodowej. Dzisiaj możemy być dumni z tych Polaków, którzy patriotyczne obowiązki przedkładali nad bezpieczne i wygodne życie pod jarzmem okupantów i wrogów polskości.

Przypisy:

¹ *Herb Raciborza*, [w:] Wikipedia, dostęp 19.10.2015 r.

² Informacja przekazana w dniu 25 stycznia 2013 r. przez kierownika działu historycznego Muzeum Śląskiego w Katowicach Jarosława Racięskiego.